

**SANDRA GLOVER**

# **NIE MÓW NIKOMU**

Tytuł oryginału:

**CAN YOU KEEP A SECRET?**

## ROZDZIAŁ 1

Karen wpatrywała się w leżące na podłodze rozbite szkło. Oszołomiona patrzyła, jak ciemnoczerwony płyn rozlewa się po jej pracy domowej z geografii, ścieka ze stołu i powoli wsiąka w szary dywan.

Przewróciła szklanekę z sokiem, chcąc jak najszybciej wyłączyć telewizor. Nie mogła znieść tego, co przed chwilą zobaczyła.

- Karen! Co ty wyprawiasz?!

Odwróciła się i zobaczyła swoją mamę, stojącą w drzwiach do salonu.

- Na litość boską! Rozlałaś sok malinowy? Prędko, przynieś jakąś szmatkę!

Gdy Karen wróciła z wilgotną ściereczką, mama wciąż gderała, jak gdyby przez ostatnich kilka minut, nie zrażona nieobecnością córki, robiła wymówki ścianom.

- Zobacz, zalałaś całą pracę domową. Mówiłam ci, żebyś nie odrabiała lekcji w salonie. Pewnie znowu oglądałaś telewizję?

Karen przytaknęła. Była zbyt oszołomiona tym, co właśnie zobaczyła, żeby cokolwiek wyjaśniać. Innym razem powiedziała by mamie, że nie robiła nic, co wymagałoby wielkiego skupienia. Po prostu kolorowała mapki na lekcję geografii. Nie było powodu, dla którego nie mogłaby jednocześnie oglądać telewizji. Zresztą do pewnego momentu udawało jej się z powodzeniem godzić obie te czynności.

Popelniła tylko jeden błąd - nie wyłączyła telewizora natychmiast po zakończeniu programu. Pozwoliła, żeby zaczęły się wieczorne wiadomości i jednym uchem wychwytywała takie słowa, jak Europa, Irlandia i minister finansów, zanim coś przykuło jej uwagę. Najważniejsza informacja tego wydania wiadomości.

- Będziesz musiała jeszcze raz odrobić lekcje. Te mapy nadają się już tylko do wyrzucenia - powiedziała mama, podnosząc ze stołu dwie ociekające sokiem kartki papieru i wrzucając je do kosza na śmieci.

Lekcje! To było najmniejsze ze zmartwień Karen. Miała kilka zapasowych mapek; wystarczy pół godziny, żeby je pokolorować. Ale ta wiadomość! Jeżeli się nie myliła, jeżeli stało się to, czego się obawiała, wtedy i pół życia nie wystarczy, żeby to naprawić! A co dopiero pół godziny.

- Karen... - usłyszała głos mamy. - Karen? Ty źle się czujesz? Cała drżysz.

- Zimno mi - odparła Karen. - Trochę zmarzłam, to wszystko. Skończę odrabiać lekcje w swoim pokoju. Na górze jest cieplej.

Podniosła z podłogi torbę z książkami i poszła do siebie. Nie mogła powiedzieć mamie o tym, co właśnie widziała. O niczym nie mogła jej powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Najpierw musi dojść do siebie.

Zresztą mama i tak niedługo wszystkiego się dowie. Zobaczy to w wiadomościach o dziesiątej albo przeczyta o tym w wieczornej gazecie. Do jutra wszyscy w szkole również będą wiedzieli. Mimo że zazwyczaj nie omawiali szczegółowo codziennych wiadomości, o tym na pewno będą rozmawiać!

Takie rzeczy nie zdarzały się codziennie. Najwyżej kilkanaście razy w roku, i to na przestrzeni całego kraju. Nie było to coś, czego można by się spodziewać tutaj, w jej własnym mieście, praktycznie na progu własnego domu.

Karen otworzyła drzwi do swojego pokoju, rzuciła torbę na podłogę i ciężko opadła na łóżko. Miała wrażenie, że głowa za chwilę jej eksploduje. Co powinna teraz zrobić?

Cokolwiek się wydarzy, cokolwiek ludzie powiedzą, musi być bardzo ostrożna. Nie może dać nic po sobie poznać. Żadnych emocji. Nie może zdradzić, że dla niej ma to większe znaczenie niż dla innych. Nie może nic zrobić, zanim nie postanowi, ile informacji wolno jej ujawnić - o ile w ogóle to robi - i komu.

Tajemnice. Karen nienawidziła tajemnic. Nawet całkiem niewinne sekrety wprawiały ją w zakłopotanie, na przykład gdy nie wolno jej było zdradzić, co kupiła mamie na urodziny. Zawsze się bała, że wypaple coś w najmniej odpowiednim momencie. Jednak większość tajemnic wcale nie była niewinna. A już na pewno nie tajemnice Zoë. Obiecując ich strzec, człowiek w głębi serca czuł, że źle postępuje. Były też tajemnice innego rodzaju i te były najgorsze. Jej tajemnice. Te dotyczące jej najbardziej osobistych spraw. Te, o których nikt nie powinien się dowiedzieć.

I co teraz? Co ma zrobić teraz, gdy wszystkie sekrety wyszły na jaw i opętały ją, nie pozwalając rozsądnie myśleć?

Wstała z łóżka, podeszła do biurka i spróbowała skoncentrować się na mapkach. Zagłuszyć w sobie wszystko. To była jej zwykła linia obrony. Jak jednak mogła się skoncentrować po tym, co zobaczyła? Po tym, czego się dowiedziała?

Policja prosiła o pomoc świadków. Wzywali wszystkich, którzy cokolwiek wiedzieli, aby zadzwonili pod specjalny numer. Na co więc jeszcze czekała? Instynkt nakazywał jej podnieść słuchawkę. Ale co właściwie miałyby im powiedzieć? Co tak naprawdę wiedziała? Nic. Wszystko opierało się na jej domysłach. Poszlaki, tak nazwałaby to policja. Prawdopodobnie wcale nie miała racji. Może przesadnie zareagowała. Może Zoë nie miała z tym nic wspólnego.

- Uspokój się - skarciła samą siebie. - Myśl!

Zaczęła mechanicznie kolorować mapki, analizując swój następny krok. Zoë. Nie mogła niczego zrobić, zanim nie porozmawia z Zoë.

I pomyśleć, że jeszcze rok temu nie było żadnej Zoë. To znaczy, gdzieś tam oczywiście była. Była Zoë i była Karen. Jedna nie wiedziała kompletnie nic o istnieniu drugiej. Każda żyła własnym życiem, każda dorastała w innej części kraju. Po czym nagle pewnej nocy wszechpotężna dłoń wyciągnęła się po Karen, schwyciła ją i przeniosła prosto do miasta, w którym mieszkała Zoë - do jej szkoły, do jej klasy.

Rzecz jasna, nie zdarzyło się to dokładnie w ten sposób. Chociaż czasami Karen miała wrażenie, że to prawda. Łatwiej było jej wierzyć, że to wszystko stało się za sprawą jakiejś złowrogiej siły, zamiast zaakceptować fakt, iż ich drogi skrzyżowały się w wyniku serii przedziwnych zbiegów okoliczności.

Być może wszystkiemu winien był pan Harrison, pomyślała Karen, pochylając się nad swoją mapką i zdając sobie sprawę, że połowę kanału La Manche pokolorowała na czerwono. Podarła kartkę i zaczęła od początku.

Pan Harrison był właścicielem niewielkiej, lecz przynoszącej zyski firmy inżynierskiej w Manchesterze, w której pracował ojciec Karen. Pan Harrison sprzedał zakład znacznie większej firmie, która przed upływem roku przyłączyła go do innego, podległego sobie zakładu, zwalniając połowę dotychczasowych pracowników, w tym także jej ojca.

Przez kolejne, ponure pół roku tata starał się o różne posady. Chodził na rozmowy kwalifikacyjne, na których za każdym razem go odrzucano, a on pogrążał się w coraz głębszej depresji. Początkowo ograniczył swoje poszukiwania do Manchesteru i okolic. Jednak im większa ogarniała go desperacja, tym dalej się zapuszczał. Jeździł do Birmingham i Londynu, zgłosił się nawet do firmy poszukującej pracowników na pięcioletni kontrakt w Chinach.

Mogło być więc o wiele gorzej. Chyba. Kiedy wreszcie ojcu udało się dostać pracę w Leeds, cała rodzina świętowała ten fakt niczym wygraną na loterii.

- To przecież niedaleko, tuż po drugiej stronie Gór Pennińskich - stwierdził tata. - Może wcale nie będziemy musieli się przeprowadzać. Mogę dojeżdżać do firmy.

Góry Pennińskie. Karen przyjrzała się uważnie swojej mapce. Manchester i Leeds wydawały się leżeć tuż obok siebie, ale rzeczywistość nie była aż tak różowa. Nic nigdy nie było aż tak różowe, jak się z pozoru wydawało.

Tata zaczął swoją nową pracę w lutym. Przez pierwszych kilka miesięcy dojeżdżał do Leeds. Jednak jazda samochodem dwa razy dziennie w tę i z powrotem po autostradzie, w godzinach szczytu i przy kiepskiej pogodzie, w połączeniu z długimi godzinami pracy, w

widoczny sposób zaczęła odbijać się na jego zdrowiu. Dlatego z początkiem kwietnia, dokładnie rok temu, wystawili swój dom w Manchesterze na sprzedaż.

- Nie będzie tak źle - pocieszała wszystkich mama. - Ja z łatwością znajdę nową pracę, a jeśli uda nam się przeprowadzić przed końcem lata, Karen będzie mogła zacząć dziesiątą klasę w nowej szkole.

Niestety, rzeczywistość znowu okazała się o wiele bardziej skomplikowana. W maju znaleźli dom, który im się spodobał, wybrali odpowiednią szkołę, a Karen zapisała się na kilka kursów przygotowujących do egzaminów GCSE\*. Dokładnie wtedy właściciele wybranego przez nich domu postanowili jednak go nie sprzedawać.

Może więc to ich Karen powinna za wszystko obwiniać. Gdyby wywiązali się z umowy, chodziłaby teraz do tamtej szkoły, a nie do tej. Nie do tej, do której chodziła Zoë. A jednak i tak dopisało im szczęście, jak twierdziła mama. Szybko znaleźli inny dom. Pusty dom. Jego właściciel niedawno zmarł, a krewnym zależało na tym, żeby jak najszybciej dobić targu.

- To okropne - zauważyła wówczas Karen. - Mam nadzieję, że w tym domu nie straszy.

Jak się jednak okazało, jej problemy nie miały nic wspólnego z duchami.

Ich nowy dom znajdował się w drugim końcu miasta od tego, który sobie wcześniej upatrzyli. Wprowadzili się 29 sierpnia. Tydzień później Karen i jej rodzice zjawili się w pobliskim gimnazjum, odbyli krótką rozmowę z dyrektorem, pospiesznie wybrali kilka kursów i pojechali szukać Karen szkolnego mundurka. Tak to wyglądało.

Karen właściwie nie miała czasu, żeby martwić się nowymi kolegami, nieznanymi nauczycielami, zasadami obowiązującymi w nowej szkole i tym, jak sobie poradzi. W innej sytuacji pierwszego dnia zżerałaby ją trema z powodu wszystkich tych rzeczy.

Prawdę mówiąc, początki okazały się wyjątkowo łatwe. Jej nowa wychowawczyni, pani Wilson, była wesołą, życzliwą kobietą, która po matczynemu zatroszczyła się, aby Karen szybko odnalazła się w nowym miejscu.

- Shaheen i Paula zajmą się tobą - oznajmiła. - Będziecie w jednej grupie na większości przedmiotów.

Nie był to taki zupełny zbieg okoliczności. Shaheen, Paula i Karen wybrały podobne zajęcia, ponieważ miały podobne zainteresowania. Wolały geografię od historii i technologii

---

\* Egzamin GCSE (General Certificate of Secondary Education) to w Anglii odpowiednik polskiej małej matury.

żywności od zajęć” praktyczno - technicznych. Były też podobnie uzdolnione. Najwyższe oceny ze wszystkich przedmiotów. I chociaż Shaheen i Paula przyjaźniły się ze sobą od gimnazjum, błyskawicznie zaakceptowały Karen. Duet stał się tercetem.

W dziesiątej klasie z większością zajęć można było dać sobie radę. W klasie Karen było co prawda pięciu dosyć głośnych i nieprzyjemnych chłopaków, ale ponieważ należeli do najgorszych uczniów, rzadko ich widywała. Jeśli chodzi o dziewczyny, tylko dwie zachowywały się wobec niej wrogo: Tracy i Zoë. Parka z piekła rodem.

Obie wyglądały na nieco starsze od pozostałych, prawdopodobnie dlatego, że mocniej się malowały i lekcewały obowiązek noszenia szkolnego mundurka. Siedziały w ostatnim rzędzie i chichotały zawsze, kiedy Karen odpowiadała, rzucając głupie komentarze na temat jej akcentu.

- Nie zwracaj na nie uwagi - poradziła jej Shaheen za pierwszym razem, kiedy to się zdarzyło. - Jeśli nie dasz poznać po sobie, że jest ci przykro, odczepią się. Te dwie nikomu nie przepuszczą. Gdyby nie twój akcent, naśmiewałyby się z koloru twojej skóry, z fryzury, albo jeszcze z czegoś innego. Uważają, że na tym świecie żyją tylko dwa ideały - one.

- Dwa idealne wrzody na tyłku - skomentowała to Paula. - Tracy udaje ważną, bo pracowała trochę jako modelka. Wiesz, że kiedyś była prymuską? Teraz mówi, że nie musi się uczyć, bo i tak zostanie zawodową modelką. Wolne żarty.

Może jednak to nie są żarty, pomyślała wtedy Karen. Komuś spoza branży mogłoby się wydawać, że Tracy ma wszelkie szanse, żeby spełnić swoje marzenia: wysoka blondynka z ogromnymi, zielonymi oczyma, tak szczupła i wyprostowana jak kawałki selera naciowego, które pogryzała podczas przerwy na lunch.

- A Zoë - ciągnęła Paula - specjalnie oblała egzaminy, żeby przesunięto ją do grupy średniaków razem z Tracy. Co za idiotka. Bo ona to już na pewno nie zostanie modelką.

Nie chodziło o to, że Zoë była brzydka. Miała głęboko osadzone, brązowe oczy, gęstwą opadających na ramiona ciemnych włosów i uśmiech jak z katalogu, którym każdego z łatwością przekonywała, że jest miłą osobą. Była jednak niewysoka, z zaokrągloną figurą, wróżącą rychłą nadwagę.

- Będzie tak gruba, jak jej matka - dodała Paula z przekonaniem.

- I tak samo leniwa - dorzuciła Shaheen. - Matka Zoë pracowała kiedyś z moją mamą, cztery lata temu, zaraz po tym, jak tata Zoë od nich odszedł. Ale nie zagrzała długo miejsca. Ciągle się spóźniała i brała wolne... Chyba ją w końcu wylali. O ile wiem, od tamtej pory nigdzie nie pracowała.

Karen słuchała ich wywodów jednym uchem. Te sprawy jej nie dotyczyły. Przecież

nie miała zamiaru mieć nic wspólnego z tą parką. A przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. Podczas zajęć wychowawczych Tracy i Zoë siedziały daleko od niej. W czasie przerwy wymykały się na zewnątrz za pracownię plastyczną i paliły papierosy. Podczas lunchu najczęściej wychodziły ze szkoły i wracały spóźnione, albo wcale się nie zjawiały. Co tydzień kazano im za karę zostawać w szkole po lekcjach, ale nic sobie z tego nie robiły.

- One są coraz gorsze, naprawdę - oświadczyła Shaheen w październiku, wkrótce po zakończeniu połowy semestru, kiedy Tracy rzuciła kijem do hokeja w nauczycielkę WF, gdy ta ośmieliła się zwrócić jej uwagę, że powinna uczestniczyć w zajęciach.

Tracy... Wszystkie kłopoty zaczęły się właśnie od niej i od tej afery na koniec semestru.

Karen pokręciła głową, nie chcąc wracać do tamtych wydarzeń. Uniosła w górę pokolorowaną mapkę. Nie najgorzej, zważywszy na okoliczności. Ale też nie najlepiej. Dawniej bardziej by się przyłożyła. Tymczasem jednak odłożyła mapkę na bok i zaczęła kolorować następną.

Ostatnimi czasy nie przepadała za geografią. A konkretnie od Nowego Roku, kiedy grupy o różnych poziomach zostały ze sobą połączone i z dnia na dzień stworzono trzydziestopięciosobową klasę. Może po Wielkanocy będzie lepiej, kiedy przyjdzie nowy nauczyciel i znowu podzielią ich na grupy.

Zastanowiła się, co się teraz dzieje z ich starym nauczycielem. Z panem Parsonsem. Na pewno nigdzie nie znalazł pracy. A już na pewno nie jako nauczyciel. Nie po tym, co zrobiły Tracy i Zoë.

## ROZDZIAŁ 2

Boże Narodzenie było początkiem końca. Dla Karen i dla biednego pana Parsonsa. Kiedy we wrześniu ona przyszła do szkoły, geografia wykładana była w trzech różnych grupach. Kierownik pracowni geograficznej uczył prymusów; zastępca dyrektora szkoły wzięł najsłabszych uczniów i próbował ich raczej utrzymać w ryzach, niż cegokolwiek nauczyć; panu Parsonsowi zaś przypadli średniacy.

Pan Parsons uczył w ich szkole niecały rok i Karen знаła go tylko z widzenia. Młody, dosyć wysoki i szczupły, z ciemną brodą ukrywającą większość przyszczy, które pokrywały licznie jego twarz. Shaheen i Paula wiedziały o nim trochę więcej, chociaż nigdy nie miały z nim zajęć.

Przyszedł do szkoły wprost po college'u, co tłumaczyło jego miody wiek. Był samotny, co czyniło zeń temat różnych niewybrednych i w większości nieprawdziwych pogłosek. Grał na gitarze i prowadził klub dyskusyjny, w związku z czym był ulubieńcem szóstych klas. Był też miły i to, jak się okazało, stanowiło jego największy problem.

Miesiąc po rozpoczęciu przez niego pracy w szkole wszyscy, nawet dzieciaki z szóstych klas, zdążyli wyczuć, że miły pan Parsons przymyka oko na nieodrobione lekcje. Miły pan Parsons nie krzyczał na spóźnialskich ani nie robił afery, kiedy ktoś rozmawiał na lekcji. Przyjmował niezliczone wymówki i ściszym głosem rozmawiał z tobą o twoich wymyślonych kłopotach.

Zanim pan Parsons zdał sobie sprawę, że bycie miłym nie służy jego autorytetowi nauczyciela, w większości jego grup zapanował chaos. Najlepsza sytuacja była w grupach przygotowujących się do egzaminów na poziomie A - level\*, a zdecydowanie najgorsza w grupie średniaków z dziesiątej klasy. W grupie Tracy i Zoë.

Co bystrzejsi uczniowie szybko się zorientowali, że w tym roku szkolnym rada nauczycielska postanowiła pomóc jakoś panu Parsonsowi. Starsi stażem nauczyciele coraz częściej wpadali niezapowiedziani na jego lekcje. Sam pan Parsons zażądał, aby uczniowie przynajmniej część lekcji spędzali na swoich miejscach. Kto wie? Może nawet by mu się udało. Gdyby tylko miał wystarczająco dużo czasu.

Tygodnie przed Bożym Narodzeniem nigdy nie są dobrym czasem dla nauczyciela,

---

\* A - level (Advanced Level) - egzamin, który uczniowie w Wielkiej Brytanii zwykle zdają w 18 roku życia. Przygotowanie do niego trwa zazwyczaj dwa lata, zaś dyplom A - Level pozwala podjąć studia na uniwersytetach w Wielkiej Brytanii, jak i w innych krajach.



szczególnie takiego z problemami. Lekcje odwoływane z powodu nagłych prób chóru; uwaga nawet najpilniejszych uczniów rozpraszana przez świąteczne dekoracje, zwieszające się z sufitów w każdej klasie, oraz rozmyślenia o nowym komputerze pod choinką; młodzieńcze hormony, buzujące w oczekiwaniu szalonych przedświątecznych imprez; ciała podniecone w najlepszym przypadku miłą perspektywą świąt i nadmiarem wysokokalorycznych pasztecików, w najgorszym - alkoholem popijanym ukradkiem za pracownią plastyczną.

Tracy jako jedna z pierwszych odczuła przyływ świątecznych emocji. Zaczęła przemycać do szkoły butelki francuskiego wina, niemieckiego piwa i polskiej wódki, które jej ojciec przywoził ze swoich licznych wyjazdów. Był kierowcą autokaru, głównie na liniach europejskich; w ich domu było zawsze tyle alkoholu, że nawet nie zauważył ubytku kilku butelek.

Rzecz jasna, Karen nie miała jeszcze wtedy pojęcia o ojcu Tracy ani o jego pamiątkach z podróży, którymi jego córka raczyła się podczas lekcji. Dopiero później wszystkie elementy układanki ułożyły się w spójną całość.

Nie trzeba było jednak mieć wyjątkowo bujnej wyobraźni, żeby domyślić się, co tak naprawdę zaszło tamtego dnia. Karen widziała ich wszystkich wyraźnie: Tracy, Zoë i ich nadworną świtę, złożoną przeważnie z chłopców. Jeden stoi na straży, reszta popala papierosy i popija piwko, ciskając opróżnione butelki w szczelinę pomiędzy pracownią plastyczną a wysokim murem otaczającym szkołę.

W końcu Zoë i Tracy zaczęły się nudzić. Chłopcy w ich wieku nie byli dla nich żadną atrakcją. Zapragnęły czegoś ciekawszego. Tamtego dnia w porze lunchu kilka osób widziało, że po przerwie wróciły do szkoły, po raz pierwszy nie spóźnione.

Najpierw zajrzały do sali na dole, gdzie jakieś dzieciaki z siódmej klasy zawieszały dodatkowe dekoracje na przyjęcie gwiazdkowe. Kilkoro z nich rozplakało się, gdy Tracy i Zoë pozrywały z sufitu papierowe ozdoby. Jedna dziewczynka dostała pięścią w brzuch, ale zanim zdążyła to komukolwiek zgłosić, Tracy i Zoë zniknęły, unosząc ze sobą kilka baloników i gałązkę jemioli.

Tak naprawdę nie było żadnych świadków tego, co się potem wydarzyło, pomyślała Karen, wsuwając pokolorowane mapki do tekturowej teczki. Jednak nietrudno było się wszystkiego domyślić. Jedyną niewyjaśnioną sprawą pozostawało to, czy wpadły na biednego pana Parsonsa przez przypadek, w drodze do sekretariatu, czy też od razu postanowiły zajrzeć do jego gabinetu.

Tak czy owak, znalazły go tam. Samego. Weszły do środka. Zamknęły drzwi. Może postanowiły poćwiczyć całowanie pod jemiolą.

Karen była całkowicie przekonana, że kiedy to się stało, pan Parsons próbował odepchnąć Tracy, a ona, upadając, uderzyła się o biurko. Wrzasnęła, złapała go za ubranie i pociągnęła za sobą w dół.

Tak przynajmniej brzmiała wersja pana Parsonsa, gdy zastępca dyrektora, zaalarmowany krzykiem, wszedł do gabinetu i znalazł ich oboje - nauczyciela i uczennicę - leżących na podłodze. Zoë stała obok, spokojnie się wszystkiemu przyglądając.

Niestety, wersja dziewcząt brzmiała zupełnie inaczej. To prawda, że piły. To prawda, że trochę narozrabiały w sali, gdzie miało się odbyć przyjęcie gwiazdkowe. Później jednak wytrzeźwiały i postanowiły zajrzeć do szkolnego sekretariatu. Gdy mijaly gabinet pana Parsonsa, nauczyciel kazał im wejść do środka. Zaczął coś insynuować. Pozwalał sobie na nieprzyzwoite komentarze dotyczące nastoletnich modelek. Kiedy próbowały stamtąd uciec, schwycił Tracy...

Chociaż żadna z nich nie miała w szkole opinii prawdomównej, było ich dwie przeciwko jednemu panu Parsonsovi. Ich wersja przeciwko jego wersji. Fakt, że Tracy miała posiniaczone plecy i podartą koszulę, jedynie jeszcze bardziej pograżył młodego nauczyciela.

Całą sprawę w miarę możliwości wyciszono. Szczegóły Karen poznała później - o wiele później - z ust samej Zoë. Dowiedziała się, że rodzice Tracy chcieli powiadomić prasę i że dyrektor spanikował.

- Podejrzewam - powiedziała wtedy Zoë - że tylko czekał na jakiś pretekst, żeby pozbyć się pana Parsonsa. Co by nie mówić, fatalny był z niego nauczyciel.

- Bycie fatalnym nauczycielem to jedna rzecz - zaprotestowała Karen. - Ale zostać wyrzuconym za coś takiego!

- Nikt go nie wyrzucił - oznajmiła Zoë. - Sam zgodził się odejść. Podpisał wymówienie.

Karen do tej pory nie wiedziała, jaka była prawda. Dziewięćdziesiąt procent słów, jakie padały z ust Zoë, było kłamstwem. Z nią człowiek niczego nie mógł być pewnym.

Karen wielokrotnie pytała ją, co się naprawdę wydarzyło wtedy w gabinecie.

- Skąd mam wiedzieć? - odpowiadała niezmiennie Zoë. - Byłam tak pijana, że nic nie pamiętam. Nic a nic.

- Wtedy mówiłaś co innego - upierała się Karen. - Potwierdziłaś wersję Tracy. Każde jej słowo.

- A jeśli nawet, to chyba trzeba sobie pomagać, no nie?

Zoë niewiele skorzystała na tej pomocy. Obie z Tracy zostały zawieszony w prawach ucznia aż do Nowego Roku, podobno za picie alkoholu na terenie szkoły i zniszczenie

szkolnej własności.

W styczniu Zoë zjawiała się w szkole sama. Rodzice Tracy przenieśli ją gdzie indziej, twierdząc, że Zoë ma zły wpływ na ich córkę. Większość uczniów uważała, że było dokładnie na odwrót. Krążyła masa dziwnych pogłosek na temat prawdziwego powodu odejścia Tracy ze szkoły. Podobno podpisała kontrakt z agencją modelek. Podobno była w ciąży. Podobno wpadła w narkotyki.

Podobno uciekła z panem Parsonsem! Żadna z tych sensacyjnych wiadomości nie zrobiła na Karen wrażenia. Nie obchodziło ją, co zamierza Tracy.

Obchodziło ją coś zupełnie innego. Odejście Tracy zapoczątkowało całą serię wydarzeń. Już na początku semestru Zoë zaczęła się rozglądać za nowym celem.

- I znalazła mnie - powiedziała głośno Karen. - Dlaczego ze wszystkich dziewczyn w szkole wybrała właśnie mnie?

Była tak pochłonięta rozpamiętywaniem i odtwarzaniem ostatniego, koszmarnego roku swojego życia, że nawet nie usłyszała, kiedy drzwi do jej pokoju się otworzyły.

- Wołałaś coś? - spytała mama.

- Nie, eee, to znaczy mówiłam sama do siebie. Wkurzyła mnie ta praca domowa. To wszystko. Ale już ją odrobiłam.

- Aha - westchnęła mama i dodała: - Wrócił ojciec. Zejdiesz na dół?

- Tak, jasne - odparła Karen, ruszając zaraz za mamą po schodach. Na dole mama przystanęła.

- Tata przyniósł wieczorną gazetę.

Też mi nowina, pomyślała Karen. Ojciec co wieczór przynosił do domu gazetę, którą kupował w drodze z pracy. W milczeniu czekała na to, co było nieuniknione.

- Na pierwszej stronie jest artykuł...

Gdyby nie powaga sytuacji, Karen chybaby się roześmiała. Zupełnie, jakby gazety nie zamieszczały artykułów na pierwszej stronie!

- Byłam ciekawa, czy słyszałaś już o tym w wiadomościach.

- Tak. Wszystko widziałam - przyznała Karen; jej oczy natychmiast napęłniły się łzami.

- Tak też podejrzewałam - odparła mama, przypatrując się jej uważnie. - Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie. - Karen miała ochotę krzyknąć. - Nie chcę.

Było już jednak za późno. Mama podjęła temat. Nie była to co prawda rozmowa, raczej monolog. Mama mówiła. Tata potakiwał, dłubiąc widelcem w talerzu wtrącając od

czasu do czasu jakąś uwagę. Karen posłusznie słuchała. Chcieli jej tylko pomóc. Wiedziała o tym. Chcieli oszczędzić jej bólu. Ale nie mogli nic zrobić. Nie tym razem.

Wydawało im się, że znają odpowiedzi na wszystkie pytania. Sądziła, że wiedzą, dlaczego Karen jest tak zdenerwowana. Ale nic nie wiedzieli. Nie znali nawet połowy faktów. A ona w żadnym wypadku nie mogła ich oświecić. Jeszcze nie teraz. Najpierw musi odzyskać panowanie nad sobą.

Zoë. Zoë była jedyną osobą, z którą musiała porozmawiać. Musiała z nią porozmawiać jeszcze dzisiaj. Jeszcze tego wieczoru. Dlaczego w ogóle tak długo z tym zwlekała? Odrabiała lekcje, jakby wszystko było w porządku. Czyżby się bała? Bała się zadać Zoë to pytanie? Bała się, że usłyszy prawdę? Jasne, że się bała.

- Muszę zadzwonić do Zoë - odezwała się, kiedy wyczuła, że monolog mamy dobiegł końca.

Ominęła aparat wiszący na ścianie w kuchni, wybierając zacisze salonu. W korytarzu przystanąła na chwilę - na tyle długo, żeby usłyszeć zaniepokojone szepty rodziców.

- Sądzę, że to naturalna reakcja - mówiła mama. - Dziewczętom w jej wieku łatwiej zwrócić się o pomoc do koleżanek niż do rodziców. Ale i tak czuję się taka bezradna.

- Szkoda, że wybrała sobie akurat taką przyjaciółkę - odparł ojciec. - Przez ostatnich kilka miesięcy nie słyszymy o nikim innym, tylko wciąż Zoë i Zoë. Co się stało z tymi miłymi dziewczynkami? Z Paulą i Shaheen?

W salonie Karen opadła ciężko na podłogę przy niskim stoliku, na którym spoczywał telefon, rzucający jej nieme wyzwanie. Mogła była pocieszyć tatę, że jej miłym przyjaciółkom nic się nie stało. Paula i Shaheen wciąż chodziły z nią do szkoły. Wciąż się z nią przyjaźniły. Problem w tym, że po odejściu Tracy Zoë tak jakby nią zawładnęła. Uczyniła z niej swoją własność.

Jak mogła do tego dopuścić?

To zaczęło się w drugim tygodniu stycznia. Pozbawiona atrakcyjnego towarzystwa swojej najlepszej koleżanki i nie mając nic lepszego do roboty, Zoë rzuciła się w wir nauki. Jej oceny z matematyki prędko wróciły do dawnego poziomu. Test z francuskiego poszedł jej nadspodziewanie dobrze. Podczas samotnie spędzanych przerw na lunch zdążyła nadgonić zaległości z angielskiego i w końcu jakiś nauczyciel - idiota zaproponował, żeby przenieść ją do najlepszej grupy.

Karen dowiedziała się o tym w dniu, w którym Zoë zjawiała się u nich na lekcji francuskiego. W pracowni stało sześć czteroosobowych stołów. I tylko przy jednym było wolne miejsce. Nie było innego wyjścia. Zoë musiała się do nich dosiąść.

Tak samo było na matematyce. Znowu tylko jedno wolne miejsce. Zgadnijcie, przy którym stole? Nawet w tych salach, w których było mnóstwo wolnych miejsc, Zoë zaczęła automatycznie się do nich przysiadać. Podczas zajęć wychowawczych odsuwała się jak najdalej od chłopców zajmujących tylne ławki i siadała obok Karen. Nie należała do osób, których łatwo jest się pozbyć. Poza tym po odejściu Tracy przestała sprawiać kłopoty na lekcjach.

Przeciwnie, przez pierwszych kilka tygodni była zaskakująco milcząca; podczas przerw snuła się za nimi trzema jak cień, prawie wcale się nie odzywając.

- Prawdopodobnie uważa, że nie warto z nami rozmawiać - stwierdziła Paula. - Ciekawa jestem, dlaczego w ogóle za nami łązi.

- Nikt inny nie chce się z nią zadawać - zawyrokowała Shaheen i dodała, zwracając się do Karen: - Swego czasu każdego się czepiała. Boję się nawet powiedzieć mamie, że wzięła nas na cel. W ósmej klasie Zoë i Tracy naprawdę mi dopiekły. Miały wtedy fazę na rasistowskie zagrywki. Codziennie rano wymiotowałam, tak się bałam chodzić do szkoły.

- I co się w końcu stało? - spytała Karen.

- Zrobili mi w szpitalu różne badania i kiedy wszystkie wyszły negatywnie, jakiś inteligentny lekarz wpadł na pomysł, że może chodzić o podłoże psychiczne, no i prawda wyszła na jaw. Moja mama przyleciała do szkoły, żeby porozmawiać z dyrektorem, a ten podetknął jej pod nos dokumenty na temat zwalczania rasizmu w szkole i obiecał wszystkim się zająć.

- I zajął się?

- Tak przynajmniej twierdził. Rzeczywiście, po tej całej aferze zostawiły mnie w spokoju. Ale prawda była taka, że prędzej czy później i tak by to zrobiły. Znudzily się Azjatami. Przyszła pora na dręczenie grubasów. Wtedy to już Gemma chowała się na przerwach w magazynie i ryczała. To było zanim Zoë sama zaczęła tyć. Teraz nie czepia się grubych. Ale Gemma miała je na karku przez całą dziewiątą klasę.

- Dlaczego nikt z was niczego nie zrobił? Przecież wiedziałaś, jak to jest. Nie mogłaś wstawić się za Gemmą?

- Zastanów się - prychnęła w odpowiedzi Shaheen. - Byłam szczęśliwa, że wreszcie dały mi spokój. Zoë jako taka wydaje się być w porządku, ale kiedy kumpłowała się z Tracy... Zresztą sama widziałaś, do czego są zdolne. W sprawie biednego pana Parsonsa nawet dyrektor nie mógł niczego zrobić. Chociaż na pewno wiedział, że obie kłamią w żywe oczy.

Paula też miała do czynienia z Tracy i Zoë. Jeszcze wcześniej, niedługo po tym, jak przyszła do szkoły i musiała założyć sobie aparat ortodontyczny na zęby. Ale obie z Shaheen

były gotowe wybaczyć i zapomnieć. Chciały dać odmienionej Zoë szansę.

Karen ponownie spojrzała na telefon. Przyszło jej do głowy stare przysłowie - o tym, że wilk nie może zmienić swojej natury. Wszystkie trzy zostały oszukane. Uwierzyły, że spokój Zoë jest wypadkową odejścia Tracy i szczerzej chęci zdobycia nowych przyjaciół. Jednak istniał inny powód tej nagłej zmiany Zoë. Wilk wcale nie stracił kłów ani pazurów.

## ROZDZIAŁ 3

Dzień dobry, mówi Karen. Czy zastałam Zoë?

Po drugiej stronie odezwał się głos matki Zoë, zaspany i obojętny.

- Już jest w łóżku? - powiedziała Karen, spoglądając na zegarek. - Bo źle się czuje? Tak, wiem, nie była dziś w szkole, ale myślałam, że... Czy nie mogłaby na chwilę podejść do telefonu? Nie... to jutro w szkole. Okej, to może poczekać.

To będzie musiało poczekać. Ale jak długo? Czy Zoë naprawdę zjawi się jutro w szkole, jak gdyby nic się nie stało? O ile w ogóle coś się stało. Wciąż istniała możliwość, cień możliwości, że Zoë nie miała nic wspólnego z tym, co się wydarzyło.

Poniedziałkowa nieobecność w szkole nie była w jej przypadku niczym zaskakującym - w całej szkole znana była ze swoich trzydniowych weekendów. Tak więc niewykluczone, że informacja w wieczornych wiadomościach i nieobecność Zoë zbiegły się ze sobą w czasie przez czysty przypadek. Było to mało prawdopodobne, ale ostatnio życie Karen w tak dużym stopniu zależało od zbiegów okoliczności, że jeszcze jeden wcale by jej nie zdziwił.

Wstała i poszła z powrotem na górę. Napelniła wannę. Wlała do środka połowę butelki płynu do kąpieli i zanurzyła się po szyję w pianie. Nie pomogło. Zastanowiła się, czy można by pozwać do sądu firmę produkującą kosmetyki za nieprawdziwe informacje na etykietkach. Napis na butelce płynu do kąpieli głosił, że zmniejsza on napięcie, co jak widać było kłamstwem. Karen wciąż była spięta.

Jej umysł pracował na pełnych obrotach; zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić na policję. Jednocześnie wiedziała, że nie może tego zrobić, dopóki nie będzie całkowicie pewna. A co wtedy? Nawet jeśli będzie pewna w stu procentach, to przecież złożyła obietnicę. Przysięgła, że nikomu nie powie.

- Idiotka! - mruknęła pod swoim adresem. Jak dała się w to wciągnąć?

Mogła była się tego spodziewać. To nie była wina Shaheen. Ani Pauli. Nikogo nie powinno dziwić, że będąc od dawna przyjaciółkami, a jednocześnie ofiarami Zoë” z przeszłości, postanowiły trzymać się razem. Unikały spotkań sam na sam z Zoë. Staraly się zaledo do niej nie zbliżać.

To stało się stopniowo i prawie niepostrzeżenie. Za każdym razem, gdy trzeba było zrobić coś w parach, Zoë wyrastała obok Karen jak spod ziemi. Kiedy potrzebowała pomocy w lekcjach, zwracała się o pomoc właśnie do niej. I to ją zaprosiła na swoje urodziny.

Aż do tamtego dnia Karen udawało się unikać spotkań z Zoë” poza szkołą. Nie

mieszkały w tej samej okolicy. Miały inne zainteresowania. Karen dzieliła swoje wieczory pomiędzy klub pływacki, lekcje muzyki i naukę. Weekendy upływały jej na zakupach, wyjazdach do Manchesteru i spotkaniach ze starymi znajomymi, wyprawach do kręgielni. Czasami chodziła na imprezy, ale nie spotykała tam Zoë; jeśli ostatnimi czasy Zoë w ogóle gdzieś wychodziła, musiała obracać się w innym towarzystwie.

Mówiło się, że od czasu swojego odejścia ze szkoły Tracy pracowała trochę jako modelka i uczyła się w domu. Wyglądało na to, że zakaz widywania się z Zoë nie bardzo ją zasmucił. Miała teraz nowego chłopaka i własne życie, którym zamierzała się zająć, jak szorstko wyjaśniła dawnej kumpelce przez telefon. Kiedy zabrakło Tracy, która organizowała jej dotąd wszelkie atrakcje, życie towarzyskie Zoë zamarło. O ile Karen się orientowała, Zoë spędzała teraz większość wieczorów, oglądając telewizję wspólnie ze swoją mamą, a w weekendy towarzyszyła jej w wypadach do pubu.

Już wcześniej Zoë zapraszała ją w różne miejsca, ale za każdym razem Karen miała gotową jakąś wymówkę. Jednak niełatwo było jej wykręcić się od zaproszenia na urodziny. Poza tym uznała, że brzmi to całkiem nieszkodliwie:

- Może wpadłabyś do mnie w niedzielę? Nie szukuję niczego wyjątkowego, bo mama kupiła nam nowy komputer i nie stać nas na razie na urządzenie przyjęcia. A taty nie ma sensu prosić o pieniądze. Nawet gdybym wiedziała, gdzie go szukać, a tego akurat nie wiem. Ale pomyślałam, że ty i ja mogłybyśmy poopychać się tortem i innymi pysznymi rzeczami, a potem uruchomić komputer...

A zatem tamtej chłodnej niedzieli na początku lutego, zaledwie dwa miesiące temu, tata Karen wysadził ją na wąskiej ulicy, wzdłuż której ciągnął się rząd przylegających do siebie domów. W jednym z nich mieszkała Zoë.

- Komputer jest w pokoju gościnnym, właściwie w gradami - poinformowała koleżankę jeszcze w progu. - Niezła rudera, co? Musiałyśmy się tu przeprowadzić, kiedy tata odszedł. Uważa się za bohatera tylko dlatego, że przysyła nam co miesiąc pieniądze, podczas gdy on sam i ta jego partnerka, jak ją elegancko nazywa, mieszkają w całkiem luksusowym mieszkaniu.

- Myślałam, że nie wiesz, gdzie jest twój tata.

- Bo nie wiem - odparła Zoë bez chwili wahania. - Nie wiem, gdzie jest w tej chwili. Przeprowadzili się po ostatniej wizycie mojej mamy... - Zoë zaśmiała się. - Mama trochę się wkurzyła. Na odchodnym rzuciła cegłą w ich okno. Nie ma się więc co dziwić, że nie zostawili nam swojego nowego adresu. I tak go z niego wyciągnę, kiedy ojciec pofatyguje się znów mnie odwiedzić. Zapomniał o moich urodzinach, wyobrażasz to sobie? Nie przysłał mi



nawet cholernej kartki. Możesz w to uwierzyć?

Karen nie zdążyła odpowiedzieć. Zoë rzuciła się otwierać kartony i majstrować przy kablach od komputera. W końcu sfrustrowana cisnęła instrukcją przez cały pokój.

- Dwadzieścia minut, dobre sobie! - krzyknęła. - Uruchom swój komputer w dwadzieścia minut. Chyba w dwadzieścia cholernych lat. Zanim uda mi się wyjąć monitor z pudła, cały ten złom będzie już przestarzały. Zobacz, zaklinował się.

- Ostrożnie - ostrzegła ją Karen. - Bo go rozbijesz. Wspólnymi siłami wyciągnęły monitor i postawiły na biurku.

- Spójrz - odezwała się Karen, zaglądając do instrukcji. - Piszą, żeby podłączyć czarny kabel do monitora.

- Który czarny kabel? Widzę tu aż trzy.

- Może twoja mama mogłaby nam pomóc?

Zoë zaśmiała się. Karen pomyślała, że Zoë często się śmieje. Nawet wtedy, kiedy widać było, że jest przygnębiona albo wściekła z jakiegoś powodu. Zupełnie, jakby śmiech był jakimś mechanizmem obronnym, jakby powstrzymywał ją przed zrobieniem czegoś o wiele gorszego. Z powodu swoich wybuchów śmiechu Zoë często wpadała w tarapaty w szkole.

- Moja mama? - powtórzyła w końcu Zoë. - Jej mysz wciąż kojarzy się z małym, szarym zwierzątkiem, na widok którego trzeba wskoczyć na krzesło i wrzasnąć! Nie potrafi nawet zaprogramować magnetowidu. Jest tępa jak noże w szkolnej stołówce.

- Zoë! - oburzyła się Karen.

- Nie ma się czym podniecać. Moja mama jest tępa, sama chętnie to przyznaje. Ja odziedziczyłam rozum po tacie. Gdyby tu był, raz - dwa by to wszystko uruchomił. Ale go nie ma. Jesteśmy tylko my dwie. Zgadza się?

- No tak - mruknęła Karen.

- Nie chciałam być niemila wobec mojej mamy - dodała Zoë, usiłując wepchnąć wtyczkę w najwyraźniej nieodpowiednie gniazdko. - Przez większość czasu świetnie się ze sobą dogadujemy. Nie czepia się mnie na okrągło, tak jak ojciec. On potrafi tylko przeskakiwać z jednej skrajności w drugą. Kiedy z nami mieszkał, ciągle ciosał mi kołki na głowie, że się nie uczę i tak dalej. A teraz nawet nie spyta o szkołę. Nie wie nawet, że znowu jestem w najlepszej grupie. Zresztą, prawdę mówiąc, nie wiedział chyba nawet, że wcześniej byłam w najgorszej! Ciekawe, co zrobi, kiedy się dowie, że... Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Nie ma prawa mnie pouczać po tym, co sam zrobił.

Tamtego wieczoru Zoë nic więcej nie powiedziała. Skupiła się na komputerze,

pozostawiając Karen z głową pełną domysłów. Jakimś cudem udało im się uruchomić komputer. Wypróbowały kilka gier, wydrukowały plakat, a potem mama Zoë zawołała je na podwieczorek.

Zoë i jej mama były podobne do siebie jak dwie krople wody. Nawet w tłumie ludzi można byłoby je wskazać jako matkę i córkę.

- Urodę mam po mamie - odparła z dumą Zoë, kiedy Karen skomentowała ich podobieństwo. - A rozum po tacie, jak już mówiłam. Nie najgorszy układ, co?

Mama Zoë była też doskonałą kucharką. Własnoręcznie zrobiła zapiekankę i pizzę oraz tort urodzinowy dla córki. Ale Zoë niewiele zjadła. Skubnęła odrobinę sałatki i ukroiła sobie cieniutki plasterk tortu, a resztę zapakowała na wynos do papierowej torby i wręczyła Karen.

- Ona ma to po mnie - zauważyła jej matka, spoglądając ze smutkiem na swoje potężne uda. - Tyje od samego patrzenia na jedzenie. Nie może być inaczej, skoro w domu prawie nic nie je. Za to w szkole pewnie opycha się słodyczami i chrupkami...

- Zgadłaś - odparła Zoë z uśmiechem. - Moim zdaniem powinni zamknąć ten szkolny sklepik. To dla mnie zbyt wielka pokusa. Nie potrafię przejść obok i nie kupić czegoś do jedzenia.

Karen nic nie powiedziała. Wiedziała, że Zoë kłamie. Nigdy nie widziała jej w pobliżu szkolnego sklepiku. Nigdy, ani razu. Dziwne, że skłamała, przyznając się do łakomstwa. Karen kłamała z zupełnie innego powodu. Mówiła mamie, że wydaje funta tygodniowo na słodycze i przekąski, podczas gdy w rzeczywistości wydawała prawie funta dziennie. Gdyby powiedziała prawdę, oznaczałoby to niekończące się wykłady na temat próchnicy i cellulitu.

Jak widać, mama Zoë nie przejmowała się takimi drobiazgami. Po podwieczorku zasiadła wygodnie przed telewizorem z pudełkiem czekoladek; drugie pudełko wręczyła dziewczynkom i posłała je na górę, żeby zajęły się komputerem. Zoë zjadła tylko jedną czekoladkę, ale gdy nadeszła pora powrotu do domu, Karen zauważyła, że matka Zoë zdążyła już opróżnić swoje pudełko.

Tamtego dnia nie było w sumie tak źle - pomyślała Karen, wychodząc z wanny. Wtedy nie potrafiła jeszcze ogarnąć tylu spraw dotyczących Zoë. Tylu rzeczy nie rozumiała. Tak naprawdę wciąż pojawiały się nowe zagadki, mimo że znała już całą historię... Lub prawie całą.

Postanowiła nie schodzić na dół. Zamiast tego położyła się do łóżka, wzięła książkę i zaraz ją odłożyła. Po co zawracać sobie głowę powieściami? Jak to się mówi? „Rzeczywistość bywa bardziej zaskakująca od fikcji”. W tej chwili z pewnością tak było.

Żadna powieść nie mogła się równać z tym, co działo się teraz w jej życiu. I w życiu Zoë. Żaden splot wydarzeń nie mógł być bardziej przygnębiający niż ten, z którym miała teraz do czynienia. Z którym będzie musiała się zmierzyć jutro, gdy spotka się z Zoë - o ile Zoë w ogóle przyjdzie do szkoły...

Oczywiście nie przyszła. Karen siedziała w ławce jak otępiała. Podczas sprawdzania obecności automatycznie odpowiedziała, gdy pani Wilson wyczytała jej nazwisko. Nikt nie skomentował nieobecności Zoë. Była czymś normalnym. Chociaż od stycznia, od odejścia Tracy, oceny Zoë znacznie się poprawiły, jej frekwencja nadal pozostawiała wiele do życzenia.

Zazwyczaj Karen traktowała nieobecność Zoë jak błogosławieństwo. Mogła wtedy spędzać więcej czasu z Paulą i Shaheen. Jednak dzisiaj było inaczej. Dzisiaj Zoë była jedyną osobą, z którą chciała porozmawiać.

Po sprawdzeniu listy obecności rozpoczęły się zajęcia wychowawcze. W praktyce oznaczało to wypełnianie niezliczonych kwestionariuszy dotyczących planów na przyszłość, oceny postępów w nauce i charakterystyki swojej osoby.

Dziś jednak nikt nie miał głowy do kwestionariuszy. Wszyscy komentowali wczorajsze wiadomości. Nawet ci, którzy nie czytali wieczornej gazety i nie oglądali telewizji, szybko zorientowali się, w czym rzecz, i chętnie zabierali głos.

- Słyszeliście o tym dzieciaku - zaczął jeden z chłopców - znalezionym przed drzwiami przychodni wczoraj rano?

Karen skinęła głową, postanawiając w duchu nie okazywać niczego więcej ponad zwykłą ciekawość.

- Moja sąsiadka twierdzi, że widziała to pudełko - ciągnął kolega. - W drodze do pracy, około siódmej. Nic nie zrobiła, bo myślała, że to tylko pusty karton, który wiatr rzucił na schody.

- No jasne - dodała Paula. - Kto by się mógł spodziewać? Czyta się o takich wypadkach, ale nikt nigdy nie podejrzewa, że jemu się to przytrafi. I to zaledwie o kilka przecznic od naszej szkoły! Chodzi mi o to, że prawdopodobnie zrobił to ktoś z okolicy. Może nawet ktoś, kogo znamy.

- Ciekawe, kto... - odezwał się inny chłopiec, obrzucając dziewczęta znaczącym spojrzeniem.

- To nie jest śmieszne, Alan - prychnęła Shaheen, uderzając go otwartą dłonią w głowę.

- Shaheen! - wykrzyknęła pani Wilson, błyskawicznie podnosząc głowę znad sterty

papierów, które przeglądała. - Co ty wyprawiasz, na litość boską? Zostaw go w spokoju i pracuj...

- Słuchajcie, już wiem! - szepnęła jedna z dziewcząt. - Może to Tracy? Odeszła ze szkoły w wielkim pośpiechu i nikt jej ostatnio nie widział. Może przez cały ten czas ukrywała ciążę?

Tracy, pomyślała Karen. Są coraz bliżej prawdy!

- Brzuch to nie jest coś, co dobrze wygląda na wybiegu - zakpił ktoś inny. - Proszę państwa, oto Tracy z najmodniejszym dodatkiem sezonu...

- Powiedziałam, że to nie jest śmieszne! - syknęła Shaheen. - Więc przestań rozsiewać głupie plotki. To może być każdy. Nawet ktoś z innego miasta. Kimkolwiek zresztą jest, nie wolno z tego żartować.

Święta racja, pomyślała z goryczą Karen.

- Wyobraźcie sobie, w jakim stanie musiała być ta biedna matka - ciągnęła Shaheen - żeby zrobić coś takiego!

- Nie wiem, jak w ogóle można zrobić coś podobnego! - orzekła Paula. - Widzieliście go z tą pielęgniarką? Był taki śliczny! Co za człowiek porzuca dziecko i znika?

Karen poczuła, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Poderwała się, przecisnęła obok biurka pani Wilson i wypadła z klasy. Pobiegnęła korytarzem prosto do łazienki. Zdążyła w samą porę. Kuląc się, zwymiotowała całe śniadanie, które zjadła w pośpiechu, chcąc jak najszybciej znaleźć się w szkole i porozmawiać z Zoë.

Głupia. Głupia. Głupia. Jak mogła się spodziewać, że Zoë zjawi się na lekcjach? A jednak nie była tak głupia, jak inni - ci wszyscy, którzy poszli fałszywym tropem i przypisali rzecz Tracy. Nikt z nich nawet nie podejrzewał prawdy, chociaż rozwiązanie zagadki mieli tuż pod nosem! Nikt nie połączył nieobecności Zoë z historią, o której wszyscy tak głośno trąbili.

Z drugiej strony, czy sama domyśliłaby się prawdy, gdyby o niczym nie wiedziała? Pewnie nie. Nie miałaby o niczym pojęcia, gdyby nie ta rozmowa we wtorek zaraz po urodzinach Zoë.

- Karen. Karen. Wszystko w porządku?

Zza drzwi łazienki rozległ się głos pani Wilson.

- E, tak, proszę pani. Przepraszam - odparła, wychodząc i ze wszystkich sił starając się powstrzymać napływające do oczu łzy. - Nie czuję się najlepiej. Wymiotowałam. To chyba jakiś wirus.

- Chciałabyś pójść do domu?

- E, nie, dam sobie jakoś radę... Chyba.

- Wszyscy poszli już na pierwszą lekcję. WF, prawda? Napisać ci zwolnienie?

- Nie, dziękuję. Już lepiej się czuję. Naprawdę.

Wcale nie czuła się lepiej, ale w tym momencie powiedziałaaby wszystko, byle tylko pozbyć się pani Wilson. Musiała pobyć przez kilka minut sama, żeby dojść do siebie.

Niech tylko zacznie się WF, a wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie w duchu. Jako jedyna dziewczyna z dziesiątej klasy lubiła WF. Była dobra w sportach. Mecz tenisa lub koszykówki zazwyczaj odrywał jej myśli od zmartwień. Dzisiaj jednak mogło być z tym kiepsko. Karen podejrzewała, że nie wymyślono jeszcze takiej gry, która pozwoliłaby jej zapomnieć o Zoë i tamtym dziecku.

## ROZDZIAŁ 4

Zupełnie oszołomiona, Karen weszła do przebieralni. Większość jej koleżanek już się przebrała. Kilka dziewczynek tłoczyło się wokół nauczycielki, pani Platt. Niektóre ścisnęły w dłoniach zwolnienia, inne naprędcie wymyślały usprawiedliwienia.

Karen minęła je, weszła do kabiny i zaciągnęła zasłonę. Wtedy dotarło do niej, że nie ma przy sobie kostiumu. W ogóle nie wzięła go ze sobą do szkoły. Zostawiła go w domu dziś rano, kiedy kostium do ćwiczeń był ostatnią rzeczą, o jakiej myślała.

Gdy wyszła z kabiny, tłumek otaczający panią Platt zniknął; wszystkie winne zostały należycie ukarane. Nauczycielka zaczęła też krzyżeć na Karen, zaraz jak tylko z ust dziewczynki padło słowo „zapomniałam”.

Pani Platt miała swój system kar dla tych uczennic, które nie chciały ćwiczyć. Te z początku kolejki były odsyłane do biblioteki, pozostałe musiały sprzątać magazyn sprzętu sportowego albo zbierać papierki ze szkolnych korytarzy. Spóźnialskie i te osoby, których nie lubiła, porządkowały teren przed szkołą.

Karen wzięła do ręki czarny plastikowy worek i wyszła przed budynek. To było niesprawiedliwe. Prawie nigdy nie opuszczała lekcji WF. Zdarzyło jej się to tylko raz, w tamten wtorek, ten po urodzinach Zoë, kiedy to kostium Karen do ćwiczeń w tajemniczy sposób zniknął z szatni, by odnaleźć się później tego samego dnia w równie tajemniczych okolicznościach.

Teraz wiedziała już, że to była sprawka Zoë. Schowała kostium Karen, żeby zapewnić sobie jej towarzystwo. Zoë rzadko brała udział w lekcjach WF.

Jej plan się powiódł, pomyślała Karen, schylając się i podnosząc z ziemi opakowanie po chrupkach. Tamtego dnia pani Platt ukarała je obie, zlecając im uprzątnięcie terenu przed szkołą. Dzisiaj przynajmniej było ciepło. Tamten dzień był zimny i mglisty, na boisku do piłki nożnej zaczynała lekka, marznąca mżawka. Zajęcia odbywały się w sali gimnastycznej, więc Karen i Zoë samotnie przemierzały trawniki. Gdy uzbierały przyzwoitą ilość śmieci, schroniły się w jednym z na wpół osłoniętych dziedzińców.

Zoë opadła ciężko na ławkę, przeklinając szkołę w ogóle, a panią Platt w szczególności.

- Dlaczego po prostu nie zaczniesz chodzić na zajęcia? - spytała ją Karen. - Zaoszczędziłabyś sobie tych cotygodniowych atrakcji. Wystarczy, że od czasu do czasu przebierzesz się w kostium i trochę pokręcisz się razem z innymi. Jeśli pani Platt widzi, że

ktoś nie ma smykałki do sportu, nie zmusza go, żeby się przykładał.

- Musiałabym się tylko przebrać, tak? - odparła kpiąco Zoë. - Widziałas, jak ja ostatnio przytyłam?

- Wcale nie jesteś gruba - spróbowała ją pocieszyć Karen. - Zobacz, Gemma jest grubsza od ciebie, a nie wstydzi się ćwiczyć.

- Może nie wyglądam grubo w tych workowatych swetrach, ale gdybyś mnie zobaczyła w kostiumie!

- Nadal nie widzę żadnego problemu. Przecież nikt by ci nic nie powiedział. Nie tobie. A w każdym razie nikt, kto chciałby przeżyć i skończyć tę szkołę!

Zoë zaśmiała się tym swoim dziwnym śmiechem. Śmiechem, który zwiastował burzę.

- Myślę, że jednak ktoś mógłby coś powiedzieć - odezwała się cicho. - Gdyby mnie zobaczyli. Słuchaj, potrafisz dochować tajemnicy?

- Pewnie.

Karen powiedziała to, zanim zdążyła dobrze się zastanowić. Powinna była odpowiedzieć: nie. Nie, jestem beznadziejna, jeśli chodzi o dotrzymanie tajemnic.

- Jeżeli coś ci powiem - zaczęła Zoë - obiecujesz, że mnie nie wydasz? Nikomu nie powtórzysz?

Karen odrzuciła także tę szansę. Potulnie przytaknęła, nie zdając sobie sprawy z tego, w co się pakuje. Byłam taka głupia, pomyślała teraz, kopiąc puszkę po coca - coli przez całe boisko. Powinna była wiedzieć, że nie jest to wyznanie pod wpływem nagłego impulsu. Powinna była wiedzieć, że Zoë świadomie ją wybrała. Wszystko było zaplanowane. Zoë czuła, że musi się komuś zwierzyć, i wybrała ją - właśnie ją - żeby powierzyć jej ten swój sekret.

- Jestem w ciąży - oświadczyła Zoë.

Minęło trochę czasu, zanim do Karen dotarło znaczenie jej słów. Zoë, która tydzień temu skończyła piętnaście lat, w ciąży. Zoë, która - o ile Karen wiedziała - nie miała nawet chłopaka. Zoë, która siedziała teraz na ławce jak gdyby nigdy nic, uśmiechając się pogodnie, zupełnie jakby właśnie oznajmiła Karen, że wybiera się na zakupy albo coś w tym rodzaju. Nagle pośród myśli, które kłębiły się w głowie Karen, myśli dotyczących Zoë, pojawiły się przebliski wspomnień z przeszłości tak dawnej, że prawie jej nie pamiętała. Żeby ich do siebie nie dopuścić, musiała zacząć mówić. Musiała się skoncentrować na problemie. Na Zoë.

- Jesteś pewna? - zdołała wreszcie wybełkotać. Wiedziała, że to głupie pytanie, zanim jeszcze Zoë uniosła brwi ze zdumienia i zaczęła się śmiać.

- Ależ tak, jestem pewna.

- Powiedziałaś o tym mamie?

- Nie. Nikomu nie powiedziałam. Kiedy zaczęłam coś podejrzewać, chciałam powiedzieć Tracy, ale wiesz, jaki ona ma długi język. Cała sprawa rozniosłaby się po szkole, zanim zdążyłabym się upewnić. Nigdy nie miałam zbyt regularnych... No wiesz. - Po raz pierwszy od początku ich rozmowy Zoë wyglądała na zakłopotaną. - Bez końca to sobie powtarzałam. Udawałam, że to nieprawda. Gdybym się komukolwiek przyznała, oznaczałoby, że to jest prawda, rozumiesz? A ja nie chciałam, żeby to była prawda. Nadal nie chcę.

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Zrobić? - powtórzyła bezmyślnie Zoë.

- Z dzieckiem! Urodzisz je czy...

Karen urwała. Nie potrafiła wypowiedzieć tego na głos.

- Usunę? - domyśliła się Zoë. - Na to już za późno. Jestem w siódmym miesiącu.

- W siódmym miesiącu! - wykrzyknęła Karen. - W siódmym? Zoë, to niemożliwe! W siódmym miesiącu moja ciocia Pat miała ogromny brzuch.

- Ale ja nie jestem twoją cholerną cioteczką Pat. Posłuchaj. U niektórych kobiet prawie w ogóle nie widać brzucha. Niedawno o jednej takiej czytałam. Nie wiedziała, że jest w ciąży, dopóki dziecko z niej nie wyskoczyło. W wannie.

- No tak, ale..

- Nie każda ma wielki brzuch. Moja mama nie miała, kiedy była ze mną w ciąży. Widziałam na zdjęciach. Gdybyś nie wiedziała, nigdy byś się niczego nie domyśliła. Wygląda na nich tak samo, jak teraz. Grubo.

- Wiesz, że będziesz musiała jej powiedzieć.

- A kto mnie do tego zmusi?

- Zoë, musisz to zrobić. Nie możesz bez końca utrzymywać tego w tajemnicy. Dziwię się zresztą, że dotąd niczego nie zauważyła! Gdyby chodziło o moją mamę...

- Ale nie chodzi, prawda? Poznałaś moją mamę. Raczej trudno ją nazwać Einsteinem, no nie? Nie zauważyłaby nawet, że wyrosła mi druga głowa.

- Ale dziecko zauważy! Poza tym powinnaś pójść do lekarza.

- Po co? Czuję się świetnie.

- To wcale nie znaczy, że z dzieckiem wszystko jest w porządku - przerwała jej gniewnie Karen. - Nadal palisz i pijesz.

- Och, oszczędź mi tych morałów, złotko - warknęła Zoë. - Dość się ich nasłucham w domu, kiedy mama się dowie. Ale nie mogę jej powiedzieć, jeszcze nie teraz.



- Dlaczego? Jaki jest sens to odkładać?

- Dlatego, że się wścieknie. Tak się cieszyła, kiedy przenieśli mnie z powrotem do najlepszej grupy. Chce, żebym zdała egzaminy. Żebym się dobrze ustawiła, jak mówi. Chce, żebym miała dobrą pracę. Nie tak jak ona. Wyszła za męża, mając osiemnaście lat, rok później urodziła mnie, potem latami pomagała ojcu rozkręcać firmę, a kiedy wreszcie stanęli na nogi, on zwał do innej. Jak sama widzisz, teraz ma tylko mnie. Jak mam jej powiedzieć, że zawaliłam sprawę?

- Mówisz o tym tak, jakby to był koniec świata - zauważyła Karen. - A wcale nie musi tak być. Twoja mama ci pomoże, jak tylko minie pierwszy szok. Jestem tego pewna. Założę się, że zajmie się dzieckiem, żebyś mogła skończyć szkołę, a potem...

Zoë szturchnęła ją mocno w żebra, widząc zbliżającego się nauczyciela. Podniosły torby na śmieci i powlokły się z powrotem do sali gimnastycznej.

- Powiesz jej? - Karen nie dawała Zoë spokoju.

- Chyba w końcu będę musiała, no nie?

- Niedługo?

- Może. Nie zapominaj tylko, że to jest moje dziecko. Moja tajemnica. Nikomu nie powiesz, tak jak obiecałaś. Wystarczy jeden sygnał, że ktoś wie. Jedno spojrzenie. Jeden uśmiezek i nie żyjesz, Karen. Mówię poważnie.

Zoë wyglądała wówczas tak, jakby rzeczywiście nie żartowała. Jej groźba zamknęła usta Karen równie skutecznie, jak złożona wcześniej obietnica. Od tamtej pory wiele razy o tym rozmawiały. Właśnie to tak je do siebie zbliżyło. Wpędziło Karen w pułapkę. Zrobiło z niej współnika. Wspólnika przestępstwa, jak się teraz okazało. Powinna była przewidzieć, że Zoë zrobi coś równie szalonego. Równie rozpaczliwego.

Karen potrząsnęła głową, próbując zmusić się do bardziej racjonalnego myślenia. Tak naprawdę nie miała żadnych dowodów. Wiedziała tylko, że zbliżał się termin porodu Zoë i że jakieś niemowlę zostało porzucone przed drzwiami przychodni, niedaleko domu koleżanki. Nie miała żadnych podstaw, żeby połączyć ze sobą oba fakty. Dlaczego wyciągnęła tak pochopne wnioski? Dlaczego natychmiast po obejrzeniu tamtych wieczornych wiadomości poczuła wręcz całkowitą pewność, że porzucone niemowlę jest dzieckiem Zoë? Ponieważ dobrze ją znała. Dlatego. Doskonale wiedziała, do czego Zoë jest zdolna.

Na samą myśl Karen poczuła mdłości. Zgięła się wpół, przyciskając dłońmi brzuch i czując wzbierającą w gardle falę żółci. Upuściła worek ze śmieciami, rozsypując jego zawartość na trawniku. Nie zadając sobie trudu, żeby pozbierać rozrzucone papiery, sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła telefon komórkowy. Rozejrzała się nerwowo, chcąc się upewnić, że

nikogo nie ma w pobliżu.

Uczniom wolno było nosić ze sobą komórki, ale używanie ich na terenie szkoły było zabronione.

Zobaczyła grupę dziewcząt, wracających z boiska koszykówki do szatni. Poczekała, aż wszystkie łącznie z panią Platt znajdą się z powrotem w budynku, po czym wybrała numer Zoë.

Odebrała mama Zoë i powtórzyła to samo, co Karen usłyszała od niej poprzedniego wieczora. Zoë leży w łóżku. Nie czuje się najlepiej. To pewnie grypa. Albo jakiś wirus. Tylu ludzi teraz choruje.

Czy mówiła poważnie? Czy taką historyjkę wcisnęła jej Zoë? A może o wszystkim wiedziała i starała się kryć córkę?

Tym razem upór Karen graniczył z nieuprzejmością. Dzwoni w ważnej sprawie. Bardzo pilnej. Nie obchodzi jej złe samopoczucie Zoë. Musi z nią porozmawiać, i to natychmiast.

Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, zanim w słuchawce rozległ się głos Zoë:  
- Cześć, Karen.

To wszystko, co miała jej do powiedzenia?

- Hm... Nagle oskarżające słowa uwięzły Karen w gardle. Takich rzeczy nie da się tak po prostu wykrzyknąć przez telefon.

- Hm, jak się czujesz? Martwiłam się o ciebie.

- I to wszystko? - odparła Zoë, przeciągając wyrazy. - Mama powiedziała, że to coś pilnego. Myślałam, że ktoś co najmniej podpalił szkołę albo coś w tym stylu. Ale to by było zbyt piękne, co?

- Posłuchaj. Chciałam zapytać, jak się czujesz? - nie ustępowała Karen.

- Dobrze. Dobrze? Jak mogła twierdzić, że dobrze się czuje?

- Chociaż złapałam jakiegoś wirusa.

- Wirusa?

- Tak. Myślałam, że mama ci powiedziała. Coś mnie dopadło.

- Wirus... I to wszystko? Nic innego ci nie dolega?

- Nie.

- Nic się nie wydarzyło?

- Nie. O co ci chodzi?

- O ostatnie wiadomości. Na pewno widziałas w telewizji. Musiałaś o tym słyszeć.

- Od trzech dni nie wstaję z łóżka. Niczego nie widziałam. To dobra czy zła

wiadomość?

- Nie próbuj ze mną swoich sztuczek, Zoë. Nie udawaj!

- Karen, upiłaś się, nawąchałaś kleju czy jeszcze coś innego? Karen wpatrywała się tępo w telefon, nie wierząc własnym uszom. Co tu się właściwie dzieje? Czyżby aż tak się pomyliła?

- Wpadnę do ciebie.

- To miło - odparła Zoë spokojnie. - Przyda mi się towarzystwo. Przyjedziesz od razu? Kusząca propozycja.

- Nie - powiedziała Karen, słysząc dzwonek na przerwę. - Nie teraz. Muszę wracać na lekcje. Pani Platt na pewno zauważy, jeśli się nie zgłoszę. Przyjadę wieczorem, okej?

- Świetnie - rzuciła w odpowiedzi Zoë, po czym połączenie zostało przerwane.

Karen pośpiesznie wrzuciła trochę śmieci do worka i ruszyła w stronę budynku. Nie uszła zbyt daleko. Pani Platt czekała na nią przy bocznych drzwiach. Ile zdążyła zauważyć? Najwyraźniej całkiem sporo. Skonfiskowała zaraz komórkę Karen i widząc prawie pusty worek, wlepiła jej karę.

Karen odbyła ją w czasie przerwy na lunch, szczęśliwa, że znajduje się z dala od plotek i złośliwych uwag.

- Moja mama mówi, że to obrzydliwe porzucić własne dziecko w ten sposób!

- I to jeszcze w kartonowym pudełku! Podejrzewają, że mogło spędzić w nim całą noc. Mogło umrzeć z zimna albo coś innego mogło mu się stać!

Na szczęście pod okiem zastępcy dyrektora w sali, gdzie odbywano kary, panowała cisza. Winowajcy w milczeniu przepisywali zadane zdania. Nie była to czynność wymagająca koncentracji. Gdy tylko jej dłoń wpadła we właściwy rytm, kreśląc słowa: „Nie będę zapominać kostiumu do ćwiczeń”, Karen mogła swobodnie oddać się rozmyśleniom. Jedną po drugiej, przypominała sobie niekończące się rozmowy z Zoë.

Większość z nich rozpoczynała się od pytania: - Powiedziałaś już mamie?

- Zrobię to dziś wieczorem, obiecuję.

Czasami Zoë wygłupiała się, wymyślając zwariowane imiona] dla dziecka. Ermintruda, Gryzelda albo Dougal. Kiedy indziej płakała. Każdy kolejny dzień, każda kolejna rozmowa zbliżała je nieuchronnie do terminu rozwiązania, a mimo to jeszcze w ubiegłym tygodniu Karen była pewna, że tylko one dwie wiedzą o ciąży.

To był jej największy błąd. Od samego początku powinna była nalegać, żeby Zoë powiedziała o wszystkim matce. Ale tego nie zrobiła. Pozwoliła Zoë manipulować sobą, dawała jej się zbywać tak samo, jak dawała się zbywać w innych kwestiach.

- A co z ojcem? - zapytała kiedyś niezobowiązująco.

- Co z nim?

- Kto nim jest?

Rozmawiając z Zoë, najlepiej było walić prosto z mostu.

- Nie musisz tego wiedzieć. Nikt nie musi tego wiedzieć. Nigdy.

Karen policzyła minione miesiące. Lipiec. To musiało się stać w lipcu. Zanim jeszcze zjawiała się w tej szkole, w tym wspaniałym czasie, gdy nie wiedziała nawet, że ktoś taki jak Zoë w ogóle istnieje.

Przeprowadziła dyskretne śledztwo, chcąc się zorientować, co się wtedy działo.

- Czy miały wtedy chłopaków? Zoë i Tracy? - powtórzyła Paula w odpowiedzi na jej pytanie. - Właściwie to nie wiem. Często się przechwalały, zwłaszcza Tracy. Lubiła pozować na superdoświadczoną w tych sprawach.

- I chyba była, tak mi się przynajmniej wydaje - odezwała się Shaheen. - Wciąż tylko opowiadała o swoich wyczynach.

- Tracy opowiadała, że chodzi z gościem, który grał kiedyś w drużynie z Leeds - dodała Paula. - Ale nikt ich nigdy razem nie widział. Tracy i Zoë nie zwracały sobie głowy chłopakami ze szkoły. Traktowały ich wyłącznie jak kumpli. Mówiły, że wolą starszych facetów. Prawdziwych mężczyzn! Żadna z nich nie zniżyłaby się do tego, żeby chodzić z kimś w swoim wieku. Nawet z tymi z liceum.

- A ci licealiści ze szkoły w Sheffield? Latem, kiedy byliśmy na wycieczce geograficznej? - rzuciła Shaheen. - Dla nich zrobiły wyjątek, pamiętasz?

- Rzeczywiście! - odparła Paula, chichocząc. - Zoë i Tracy nudziły się jak mopsy na tej wycieczce. Ciągłe wymykały się do pubu i tak dalej. Kiedy znaleziono je w pokoju tych chłopców, wybuchła straszna afera. Niewiele brakowało, a odesłano by je do domu, ale pan Parsons wstawił się za nimi. Powiedział, że cała czwórka tylko grała w Scrabble!

- - Pan Parsons... - powtórzyła Karen. - On też był na tej wycieczce...?

## ROZDZIAŁ 5

Ta obsesja na punkcie Zoë tylko wpędza mnie w kłopoty, pomyślała Karen. Tak w domu, jak i w szkole. Ledwie zdążyła zakończyć odbywanie pierwszej kary, a już dostała następną za to, że nie uważała na francuskim.

Jutro posypią się kolejne kary, jeśli nie odrobi lekcji jak należy. Ale jak mogła się na czymkolwiek skupić?

Po szkole popędziła do domu i oznajmiła, że idzie odwiedzić Zoë.

- O nie, nie ma mowy - oświadczyła mama. - Najpierw odrobisz lekcje. Później tata podrzuci cię do Zoë. I odbierze, jak będziesz wracała. Wiesz, że nie lubię, kiedy kręcisz się sama w tamtej okolicy.

Jej matka była taką snobką! Wciąż się czymś zamartwiała. Jej zdaniem na każdym rogu czyhali na Karen psychopaci, gotowi ją zamordować, gdy wyjdzie sama z domu po piątej po południu!

Nie było sensu kłócić się z matką, ale to nie zniechęciło Karen do półgodzinnej dyskusji, która dobiegła końca w momencie, gdy matka zagroziła, że w ogóle jej nie puści.

Pokonana, Karen włożyła książki do torby i poszła na górę, słysząc, że zbliża się ojciec, szczęśliwie choć raz nie spóźniony. Byle tylko przetrwać te męczarnie przy obiedzie. Przed obiadem czekała ją jednak jeszcze inna próba. Telewizor na dole był włączony. Karen zatrzymała się na półpiętrze i słuchała.

- Policja wciąż apeluje do matki dziecka porzuconego przed przychodnią, aby się zgłosiła.

Karen chciała odwrócić się na pięcie, wbiec z powrotem na górę i ukryć przed całym światem, ale stopy same poniosły ją do salonu, zmuszając, aby jeszcze raz wszystko zobaczyła.

Póki co nie pokazywali dziecka. Tylko pudełko. Kartonowe pudełko z napisem CHRUPKI WALKER na boku i porzuconym niemowlęciem w środku. Chociaż oczywiście w tej chwili wewnątrz pudełka było puste.

Właśnie wyjaśniali, dlaczego jest puste.

- Niemowlę, któremu pielęgniarki dały na imię Steven, jest zdrowe i szybko dochodzi do siebie.

Krótką przebitką przedstawiająca dziecko w ramionach pielęgniarki.

- Policja obawia się jednak, że matka może być w szoku i potrzebować opieki lekarza

oraz psychologa. Dlatego też zwracamy się z gorącą prośbą do wszystkich, którzy znają miejsce jej pobytu, aby zadzwonili pod ten numer.

Na ekranie pojawił się migający numer telefonu zaufania. Karen spróbowała go zapamiętać. Zapisze go, jak tylko będzie miała okazję.

Ale jeszcze nie teraz. Tata odwrócił się w jej stronę. Mama weszła do salonu, oznajmiając, że obiad gotowy. Nagle Karen została wzięta w dwa ognie; nie mogła dłużej ukrywać swojej bladości i drżenia rąk.

- Dobrze się czujesz?

Rodzice jednocześnie zadali to samo głupie pytanie.

- To okropne - zdołała wykrztusić Karen. - Jak ona mogła? Matka tego dziecka...

Dobrze znała odpowiedź, ale jej rodzice, podobnie jak wszyscy w szkole, natychmiast zaczęli bawić się w psychologów - amatorów.

- Obawiam się - zaczął tata - że nie można nikogo osądzać, zanim nie pozna się wszystkich faktów. Może jest bardzo młoda. Prawdopodobnie teraz jest przerażona. Może nawet chora.

- Czasami - dodała mama - takie matki nie zdają sobie sprawy z tego, co robią. Czasami wmawiają sobie, że tak będzie lepiej. Wołają, żeby ktoś inny zajął się ich dzieckiem. Ktoś, kto będzie w stanie dać mu miłość, bezpieczeństwo i...

- Przestańcie! - krzyknęła Karen. - Przestańcie! Przestańcie wymyślać usprawiedliwienia. Takie matki są samolubne. Nie chore. Nie przerażone. Tylko samolubne, samolubne, samolubne!

Odepchnęła rodziców i wybiegła z salonu.

Nie wiedziała, jak długo leżała na łóżku, płacząc. Na pewno niezbyt długo. Rodzice nigdy nie zostawiali jej długo samej w takim stanie. Pomyślała, że mają pewnie na dole coś w rodzaju emocjonalnego licznika. Dawali jej wystarczająco dużo czasu, aby mogła się wypłakać, ale nie na tyle dużo, żeby zdążyła pograżyć się w ponurych rozmyślaniach.

Przez wszystkie te lata zdążyli się już przyzwyczać do podobnych scen.

Najpierw rozległo się pukanie do drzwi. Potem do sypialni weszła mama. Nieproszona usiadła na krawędzi łóżka.

- Chcesz coś zjeść?

- Nie. Nie jestem głodna.

- A może zejdiesz na dół? Nagrałam naprawdę ciekawo...

- Nie, dziękuję.

- Karen, ja wiem...

- Nie, mam, nie wiesz - odparła cicho Karen. - Tym razem niczego nie wiesz.

Jej rodzice nie mogli rzecz jasna wiedzieć, dlaczego tym razem wszystko było inne. Złożyli jej zachowanie na karb dorastania, przekonani, że oddała się od nich na skutek naturalnej dla nastolatków potrzeby niezależności i zamiast u nich, szuka emocjonalnego wsparcia u przyjaciółek.

- Przepraszam - odezwała się Karen. - Nie chciałam być niegrzeczna. Po prostu nie mogę teraz o tym rozmawiać.

- Nic się nie stało - pocieszyła ją mama. - Ale gdybyś jednak chciała...

Karen skinęła głową.

- Czy mogę teraz pójść do Zoë...?

Tata podrzucił ją samochodem, tak jak obiecała mama, i powiedział, żeby zadzwoniła po niego, kiedy będzie chciała wrócić do domu. Karen przytaknęła, a po chwili już matka Zoë otworzyła drzwi i zaprosiła ją do środka.

- Idź na górę - powiedziała. - Zoë nadal leży w łóżku. Karen przyjrzała jej się uważnie, szukając w twarzy tej kobiety potwierdzenia swoich obaw. Ale matka Zoë tylko uśmiechała się pogodnie. Nic nie wskazywało na to, że wie. Nawet cienia podejrzenia, że piętro wyżej jej córka niedawno urodziła dziecko i porzuciła je na schodach miejscowej przychodni.

- Na górze - powtórzyła. - Zoë jest na górze... Zoë była blada. Leżała w łóżku i oglądała telewizję. Widząc Karen, uśmiechnęła się.

- Wyłącz to - odezwała się, wskazując telewizor. - Straszne nudy.

Karen spełniła jej prośbę, przysiadła na krawędzi łóżka i czekała, aż Zoë coś powie. - Dzięki za odwiedzin. Ale nie musiałaś się fatygować. Czuję się już o wiele lepiej. Chyba mogłabym nawet pójść jutro do szkoły.

Karen otworzyła usta i natychmiast je zamknęła. Jak długo Zoë zamierzała przed nią udawać? O ile rzeczywiście udawała. Spróbowała jeszcze raz.

- Zoë...

- Tak mam na imię - roześmiała się koleżanka.

- Zoë, oglądałaś dziś wiadomości?

- Jasne. Zazwyczaj nie zwracam sobie tym głowy, ale po twoim telefonie od razu włączyłam telewizor. Co takiego miało mnie zainteresować?

- Dziecko! - odparła Karen. - Porzucone niemowlę. Malutki chłopczyk. Steven.

- A, to - westchnęła Zoë. - Fakt. Smutne, prawda? Biedne maleństwo.

- Smutne - powtórzyła Karen, ze wszystkich sił starając się nie krzyczeć, nie podnosić głosu. - To wszystko, co masz na ten temat do powiedzenia?

- Bo to jest smutne. Co więcej chciałabyś ode mnie usłyszeć?

Karen wpatrywała się w twarz Zoë. Czy to możliwe, że nie była w to wszystko zamieszana? Że to nie było jej dziecko? Że wciąż była w ciąży?

- Karen - odezwała się w końcu Zoë. - Może ja czegoś nie łapię? Czy ty próbujesz mi coś powiedzieć?

Karen wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je z głośnym westchnieniem ulgi. Musiała się pomylić, nie było innego wyjścia. Powinna być mądrzejsza. Zoë miała swoje wady, ale nie była aż tak zepsuta. Tylko jak ma jej teraz wytłumaczyć swoje zachowanie?

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Martwiłam się, to wszystko. Wszyscy mówią, że matka musiała być bardzo młoda. Że prawdopodobnie nie chciała, aby ktokolwiek dowiedział się o jej ciąży. Że była zdesperowana. No i pomyślałam sobie, że...

- Co sobie pomyślałaś? - przerwała jej Zoë. - No dalej, wykrztuś to. Chyba wreszcie zacznym rozumieć, o czym mówisz.

- Przepraszam cię. Wiem, że to było okropne z mojej strony. Ale pomyślałam, że to mogłaś być ty.

- Ja? - odparła Zoë, unosząc brwi i uśmiechając się z niedowierzaniem.

- To nie jest śmieszne - zwróciła jej uwagę Karen. - Strasznie się zamartwiałam. Naprawdę. Myślałam tylko o tym, że zbliżał się twój termin, że mieszkasz niedaleko tej przychodni i o ile wiem, nie powiedziałaś dotąd o niczym mamie. Sama przyznasz, że to miało sens!

- Nie - rzuciła Zoë. - Chyba nadal nie wiem, o co ci chodzi. Jaki termin się zbliżał?

- Zoë, nie udawaj głupiej - zirytowała się Karen. - Cała ta sprawa jest już wystarczająco skomplikowana.

Zamilkła, a po chwili dodała: - W jednym przypadku się nie pomyliłam. Nie powiedziałaś jej jeszcze, prawda? Nie powiedziałaś mamie, że jesteś w ciąży?

- Miałam powód, żeby jej o tym nie mówić.

- Tak, wiem. Bo będzie rozczarowana. Chce, żebyś skończyła szkołę.

- Nie - odparła Zoë. - Nie o to chodzi.

- A o co? - zdziwiła się Karen. - Jaki masz teraz powód?

- Nie powiedziałam mamie, że jestem w ciąży - zaczęła wolno Zoë - z jednego podstawowego powodu. Nie jestem w ciąży. Nigdy nie byłam.

Karen spodziewała się wszelkich możliwych wymówek. Nawet w tej chwili miała ich w głowie setki. Ale coś takiego?! Całkowite i bezwstydnne wyparcie się wszystkiego.

- Ale... Ale...



- Weź się w garść, Karen - zaśmiała się Zoë. - Zachowujesz się jak Stella - jąkała, wezwana do tablicy.

- Ale - wykrztusiła Karen, znajdując wreszcie odpowiednie słowa - sama mi powiedziałaś. Nie wymyśliłam sobie tego. I te wszystkie nasze rozmowy! Od ponad dwóch miesięcy o niczym innym nie mówiliśmy.

- No wiesz, o czymś trzeba rozmawiać, nie? - Zoë znowu się roześmiała. - Po odejściu Tracy myślałam, że umrę z nudów w towarzystwie waszej trójki. Nie obraż się, ale rozmowy o pracy domowej z matmy albo najnowszej powieści Terry'ego Pratchetta niespecjalnie mnie kręca. Pomyślałam więc, że ożywię trochę nasze konwersacje i wymyśliłam sekret, którym mogłabym się z tobą podzielić. Nie było sensu próbować czegoś takiego z Paulą czy Shaheen. Za dobrze mnie znają. Przejrzałyby mnie na wylot, zanim zdążyłabym cokolwiek powiedzieć.

- Chwileczkę - przerwała jej Karen. - Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałam. Chcesz mi wmówić, że wymyśliłaś to wszystko? Całą tę historię? Tak dla zabawy?

Zoë przytaknęła. - Słuchaj, naprawdę mi przykro. Skąd mogłam wiedzieć, że aż tak się tym przejmiesz? Nie przypuszczałam nawet, że mi uwierzysz. Nie znasz mnie tak dobrze jak inni, ale musiałaś się już zorientować, jaka ze mnie kłamczucha! Zresztą sama powiedziałaś, że nic po mnie nie widać. Popatrz - dodała, spuszcżając nogi na podłogę i wstając z łóżka, żeby Karen mogła dobrze się jej przyjrzeć. - Jestem tylko gruba. Co prawda mam wałki tłuszczu tu i tam, ale nie mam brzucha. Jak widzisz, nie będzie żadnego dziecka.

Mówiąc to, poklepała swój brzuch, po czym z powrotem wśliznęła się do łóżka.

- To świadczy jedynie o tym, że teraz nie jesteś w ciąży - stwierdziła Karen. - Ale byłaś w ciąży, prawda? Miałam rację, prawda? To niemowlę, Steven...

- O rany - mruknęła Zoë, wyglądając na autentycznie zmartwioną. - Żałuję, że w ogóle to zaczęłam. Naprawdę mi przykro, okej? Skąd mogłam wiedzieć, że jakaś wariatka porzuci swoje dziecko, a ty będziesz na tyle głupia, żeby mnie podejrzewać?

- Skoro więc wcale nie byłaś w ciąży - nie ustępowała Karen - dlaczego tak długo przede mną udawałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Tak bardzo się w to wszystko zaangażowałaś - odparła Zoë usprawiedliwiającym tonem. - Nie chciałam, żebyś poczuła się rozczarowana. Poza tym byłam ciekawa, ile czasu minie, zanim się wreszcie zorientujesz. Byłaś taka łatwowierna. Chyba potrafisz liczyć? Przecież wiesz, że te wymyślone dziewięć miesięcy już minęło. Czekalabyś, aż minie dziesięć albo jedenaste?

- Przestań - przerwała jej Karen. - Przestań. Nie wiem, w co ze mną pogrywasz, ale...

- Pogrywam - weszła jej w słowo Zoë. - Nareszcie to do ciebie dotarło. To była

zabawa. Zapytaj kogokolwiek w szkole. Zapytaj Shaheen i Paulę. Ja i Tracy ciągle kogoś nabierałyśmy. Nie mówiły ci o chłopaku Tracy, tym piłkarzu z Leeds? Przeciągałyśmy tę bujdzę w nieskończoność. Tak naprawdę Tracy spotykała się wtedy z mechanikiem samochodowym, który grał w jakiejś trzecioligowej, niedzielnej drużynie! A potem ja na dwa miesiące zerwałam się ze szkoły i nikt nie zadawał żadnych pytań, bo powiedziałam, że moja mama ma raka.

- To obrzydliwe! - krzyknęła Karen. - Chore! Nienormalne!

- No wiesz, miałam wtedy tylko jedenaście lat - odparła Zoë, jakby to wszystko tłumaczyło. - Teraz nie wymyśliłabym czegoś równie podłego.

- Właśnie to zrobiłaś, jeśli mam ci wierzyć - zaatakowała Karen.

- Och, ty lepiej przestań robić wokół tego taki szum, dobrze? - rzuciła Zoë. - To był całkiem niewinny żart. Sama byś się z tego śmiała, gdyby nie ta cała historia z podrzutkiem. Z tym małym Stevenem. Przykro mi z jego powodu, naprawdę. Ale to nie jest moje dziecko, rozumiesz?

## ROZDZIAŁ 6

Jak mam ci wierzyć? - westchnęła Karen; zabrzmiało to tak, jakby mówiła sama do siebie. - Skąd mam wiedzieć, co jest prawdą, a co nie?

- Przestań - powiedziała uspokajająco Zoë. - Zastanów się przez chwilę. Twierdzisz, że udało mi się ukryć ciążę i nikt, nawet moja mama, niczego nie zauważył przez całe dziewięć miesięcy. Upierasz się, że urodziłam dziecko. Gdzie, Karen? Tutaj? Gdzieś na polu? A może w środku miasta? Załóżmy, że rzeczywiście je tutaj urodziłam. Urodziłam dziecko, a moja mama się nie zorientowała. Wiem, mówiłam ci, że nie jest najbystrzejsza, ale całe dni spędza w domu i chyba nawet ona umiałaby odróżnić poród od nagłego ataku grypy. A więc rodzę dziecko, mama nic nie zauważa, wynoszę je z domu i podrzucam w przychodni, wracam tu niepostrzeżenie, a potem jem śniadanie, jakby zupełnie nic się nie stało?

- Ktoś tak właśnie zrobił - mruknęła Karen.

- Ktoś, kto mieszka sam - odparła Zoë. - A nie ktoś, kto mieszka ze swoją cholerną matką, na litość boską! Poza tym ta osoba musiała...

Karen spodziewała się, że Zoë zacznie teraz bawić się w psychologa - amatora, jak wszyscy.

- Poza tym ta osoba musiała być najpierw w ciąży. W przeciwieństwie do mnie!

- Nie do wiary - zawołała Karen; do oczu napłynęły jej łzy. - Nie mogę uwierzyć, że mogłaś zrobić coś takiego. Masz pojęcie, jak ja się czułam przez te ostatnie dwa miesiące? Co przeżywałam przez tych ostatnich kilka dni? I z jakiego powodu? Bo tobie zachciało się żartów!

Zerwała się na równe nogi i kopnęła bok łóżka.

- Nie musisz się tak awanturować - zauważyła Zoë. - Powiedziałam już, że jest mi przykro, prawda? Ja i Tracy ciągle robiliśmy ludziom takie głupie numery. Tak naprawdę, to ona podsunęła mi ten pomysł! Niejeden raz próbowała mi wmówić, że jest w ciąży! A nigdy nie była. To zawsze były tylko żarty. Taka zabawa.

- Zabawa - powtórzyła Karen. - Tak się właśnie bawiliście, ty i Tracy? Wymyślając sobie urojone ciążę?

- Pewnie. A dlaczego nie? Jeśli brak ci poczucia humoru, to już jest twój problem. Skąd mogłam wiedzieć, że okażesz się tak naiwna i przewrażliwiona?

- Przewrażliwiona! - krzyknęła Karen. - O tak, masz rację. Jestem przewrażliwiona.

Miała to na końcu języka. Już chciała powiedzieć Zoë, dlaczego jest taka, jaka jest.

Dlaczego zbiera jej się na płacz na widok porzuconych szczeniąt, nie mówiąc o porzuconych niemowlętach. Dlaczego zawsze drze ulotki przedstawiające zdjęcia wielkookich, osieroconych dzieci. Dlaczego tak bardzo nienawidzi kłamstwa, wykrętów i braku odpowiedzialności. Dlaczego to wszystko sprawia, że cała aż gotuje się z wściekłości. Teraz też dała się ponieść wielkiej fali gniewu, w której utonął wszelki rozsądek, wszelkie racjonalne myślenie. Jeśli zostanie tutaj choć minutę dłużej, wszystko wyjdzie na jaw...

Karen nie zadała sobie trudu, żeby pożegnać się z Zoë i jej matką. Potykając się, zbiegła w dół po schodach, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi wejściowe i wypadła na ulicę. Biegła tak długo, aż zabrakło jej tchu.

Wtedy przystanęła, oparła się o mur i dopiero w tym momencie poczuła, że ciężkie krople deszczu spływają jej po twarzy i zalewają oczy. Spojrzała na zegarek. Dziesięć po dziewiątej. Nie powinna była wybiegać stamtąd w ten sposób. Powinna była zadzwonić po tatę, tak jak obiecała. Powinna była poprosić go, żeby po nią przyjechał. Teraz było już za późno. Nie mogła wrócić do Zoë, a nie miała przy sobie komórki - po lekcjach zapomniała odebrać ją od pani Platt.

Rozejrzała się po ulicy, na której się znalazła. Ani śladu budki telefonicznej, ale w oddali widać było przystanek autobusowy. Pojedzie autobusem do centrum, a stamtąd przesiądzie się w inny autobus, jadący prosto do domu, albo złapie taksówkę, albo zadzwoni po tatę.

Ulica była opustoszała. Karen schroniła się pod wiatą przystanku. Pełno tam było śmieci, ściany pokrywało graffiti, ale przynajmniej było sucho. Sięgnęła do torebki i wydobyla grzebień oraz lusterko. To ostatnie nie na wiele jej się przydało, jako że wokół panowały egipskie ciemności. Przeczesała grzebieniem swoje gęste włosy i poczuła się odrobinę lepiej. Jakby na powrót stawała się człowiekiem. Gdy chowała grzebień do torebki, przejeżdżający akurat ulicą samochód zwolnił. Zadrżała. Może mama miała jednak rację co do świrów czających się w ciemnych zaułkach. W dzisiejszych czasach ciągle czyta się o takich przypadkach.

Wciśnięta w róg wiaty czekała, żeby samochód ją minął. Gdy zniknął w ciemności, obawa o własne bezpieczeństwo ustąpiła miejsca rozmyśleniom o historii, która nie schodziła z pierwszych stron lokalnych gazet. Historii małego Stevena.

Czy był dzieckiem Zoë? Prawdopodobnie nie. Lekarz z pewnością odkryłby prawdę, ale mało prawdopodobne, żeby Zoë sama zgłosiła się na badania. A w obecnej sytuacji Karen nie mogła przecież nikogo zawiadomić.

„Hm, podejrzewam, że moja koleżanka może być matką tego porzuconego dziecka”.

To by dopiero była afera, gdyby się okazało, że nie miała racji. Zoë mogłaby ją nawet pozwać do sądu albo coś w tym rodzaju. Poza tym jej najnowsza wersja wydawała się Karen bardziej wiarygodna niż poprzednia. Zoë nigdy nie była w ciąży. Od początku faszerowała ją kłamstwami. To były tylko kłamstwa. Kłamstwa.

Ale jeśli to nie było dziecko Zoë, to czyje? Prawie na pewno kogoś stąd. Prawdopodobnie jakiejś młodej dziewczyny. Może koledzy Karen ze szkoły nie mylili się aż tak bardzo, podejrzewając Tracy. Może jedna z jej zmyślonych ciąż okazała się czymś więcej niż tylko głupim żartem? Zresztą tak naprawdę to, kto jest matką, nie miało dla Karen znaczenia. Tym, co ją dręczyło, co szarpało jej nerwy na strzępy, była myśl o porzuconym dziecku.

Podskoczyła, czując, że czyjaś ręka dotyka lekko jej ramienia. Była tak głęboko pogrążona we własnych niewesołych myślach, że nie usłyszała zbliżających się kroków. Nie zorientowała się, kiedy L ktoś zaszedł ją od tyłu.

- Uważaj! - odezwał się czyjś głos, gdy Karen odwróciła się gwałtownie, gotowa wołać o pomoc. - Nadepnęłaś mi na stopę. Zobacz, moje nowiutkie pantofle są całe ubłocone.

Szczupła postać schyliła się i wytarła buty delikatnymi palca - mi. Mimo iż jej jasne włosy były teraz krótsze niż dawniej, Karen natychmiast ją rozpoznała.

- No, tak myślałam, że to ty - powiedziała Tracy, prostując się. - Co tutaj robisz?

- Mogłabym zapytać cię o to samo - odparła Karen, chcąc za wszelką cenę uniknąć wymieniania imienia Zoë.

- Mieszkam tuż obok - wyjaśniła Tracy, wskazując rząd przylegających do siebie domów. - Przynajmniej w tej chwili. [ Wkrótce się przeprowadzamy. Do domku jednorodzinnego. Jak tylko przyjdą moje pieniądze za pozowanie.

Karen spróbowała się uśmiechnąć. Czy to prawda, czy fałsz? Kogo to zresztą obchodzi? W tej chwili tego typu sprawy się nie liczyły.

- Czemu tak mi się przyglądasz? - spytała Tracy.

Karen zdała sobie sprawę z tego, że wpatruje się w perfekcyjnie umalowaną twarz koleżanki, szukając na niej oznak winy albo szoku. Jakiegoś dowodu na to, że ta chuda niczym patyk istota jeszcze niedawno obnosiła się z brzuchem. W myślach zganiała się za dawanie wiary głupim plotkom. Z jakiego powodu miałyby podejrzewać Tracy bardziej niż jakąkolwiek inną dziewczynę z tej części miasta? Czy tylko dlatego, że zdążyła wyrobić sobie określoną reputację?

- E, nic takiego - odparła prędko. - Ładnie wyglądasz.

- Aha. - Tracy zdawała się być usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. - Jedziesz do

miasta?

- Do domu. Ale najpierw muszę się dostać do centrum. Gdy tak rozmawiały, nadjechał autobus. Karen miała nadzieję, że Tracy zostawi ją w spokoju i usiądzie z dala od niej. W końcu nigdy nie były dobrymi koleżankami. Ale los wyraźnie jej nie sprzyjał.

- To co właściwie tutaj robiłaś? - spytała Tracy. Korzystając z tego, że w autobusie było nieco jaśniej, przyjrzała się uważnie Karen. - Wyglądasz jak podtopiona mysz, cierpiąca na psychozę maniakalno - depresyjną.

- Dzięki - mruknęła Karen.

- Cóż, taka jest prawda - nie dała się zbyć Tracy. - Masz podpuchnięte oczy. Płakałaś, co?

- E, tak. Musieliśmy... uśpić naszego kota.

Kłamstwo okazało się zaraźliwe. Karen nigdy nie miała kota, ale Tracy nie mogła o tym wiedzieć.

- • Och, nie - odparła ze szczerym współczuciem. - Wiem, jak się czujesz. Ja też strasznie płakałam, kiedy ktoś przejechał naszego Feliksa.

Karen spuściła wzrok; było jej wstyd, że swoim kłamstwem przywołała tak przykre wspomnienia. Tracy tymczasem relacjonowała jej historię biednego Feliksa. Ciekawe - nigdy nie podejrzewała, że ktoś taki jak Tracy może mieć w domu zwierzątko, a co dopiero darzyć je uczuciem.

- A jak tam twoja kariera? - spytała natychmiast, gdy Tracy skończyła swoją smutną opowieść.

Właściwie wcale jej to nie interesowało. Chciała tylko, aby reszta podróży upłynęła im na rozmowie o czymś w miarę przyjemnym.

- Och, świetnie - odparła Tracy. - Mam zaklepane mnóstwo sesji fotograficznych dla różnych czasopism. Mój agent mówi, że swoim wyglądem idealnie wstrześliłam się w to tysiąclecie. Rzucenie szkoły było najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłam. A propos, co słychać w naszej starej budzie? Co u Zoë?

- W porządku - mruknęła Karen, starając się panować nad sobą.

- Dopiero co o niej myślałam - ciągnęła Tracy. - Przeczytałam ten artykuł w gazecie i pomyślałam: Zoë! Nikt inny, tylko Zoë! Czekać, przecież ja tu wysiadam.

- Ja też - rzuciła prędko Karen, podnosząc się z miejsca. Koniecznie musiała się przekonać, czy podejrzenia Tracy zgadzały się z jej podejrzeniami.

- Przecież chciałaś jechać aż do pętli...?

- E, właściwie nie. Chyba poszukam budki telefonicznej i zadzwonię do taty.

- Budki telefonicznej? - powtórzyła Tracy takim tonem, jakby nigdy wcześniej o czymś podobnym nie słyszała. - A gdzie twoja komórka?

- W szkole, u pani Platt - przyznała się Karen.

- Nic się nie martw - pocieszyła ją Tracy, wyskakując z autobusu. - Możesz zadzwonić z mojej.

- E, dzięki - odparła Karen.

Jednocześnie pomyślała, że absolutnie nie może zadzwonić do domu, dopóki nie usłyszy tego, co Tracy chciała jej powiedzieć. Jakim cudem skojarzyła Zoë z tą historią w gazecie? Przecież podobno o niczym nie wiedziała.

- Wiesz co? - zaczęła Tracy, ruchem głowy wskazując pobliski pub. - Mam się tu spotkać z moim chłopakiem. Ale on zawsze się spóźnia. Skocz ze mną na szybkiego drinka. I tak musisz poczekać na swojego tatę.

Karen nie miała pojęcia, jak wyjaśni rodzicom, dlaczego dzwoni do nich z jednej z najpodlejszych knajp w mieście, ale nie miała innego wyjścia.

Kiedy już usadowiły się przy niewielkim stoliku w rogu słabo oświetlonej sali, Tracy podała jej telefon i poszła zamówić coś do picia.

- Już jedzie - poinformowała ją Karen, gdy koleżanka wróciła. - Co takiego mówiłaś o Zoë?

Niezbyt to było subtelne, ale czas ją naglił. Dojazd do pubu nie zajmie ojcu zbyt wiele czasu. Miała najwyżej piętnaście minut.

- Pytałam, co u niej słychać.

- Nie to. Później. Powiedziałaś, że myślałaś o niej. Z powodu czegoś, co napisali w gazecie.

- A, to - przypomniała sobie Tracy. - Jechałam pociągiem do agencji w Londynie i czytałam gazetę, którą ktoś zostawił w przedziale. Pisali o, tej nowej diecie. Pomyślałam, że byłaby idealna dla Zoë, bo składała się głównie z owoców. A ona zawsze lubiła owoce.

- Owoce? - powtórzyła Karen.

- Tak, no wiesz: jabłka, pomarańcze, gruszki...

- I to był artykuł o diecie? - spytała Karen, myśląc, że zachowuje się jak idiotka.

- Jasne! Wyglądasz na rozczarowaną. Spodziewałaś się czegoś innego?

- E, nie, właściwie nie. Po prostu ostatnio Zoë o czymś mi powiedziała. Myślałam, że może coś wiesz. W końcu znasz ją lepiej niż ktokolwiek inny. Zdarza jej się czasem wymyślać różne rzeczy?

- Co na przykład?

- Różne kłamstwa. Nieprawdziwe historie na swój temat.

- A kto tego nie robi? Ja ciągle kłamię na temat swojego wieku. Mój chłopak myśli, że mam dwadzieścia lat.

- Chodziło mi o coś poważniejszego. Uważasz, że Zoë często kłamię?

- Zdecydowanie - odparła Tracy, kiwając głową z przekonaniem. - I jest w tym naprawdę dobra. Parę razy dałam się nabrać. Najczęściej to była tylko zabawa. Obie byłyśmy okropnymi kłamczuchami! Ale Zoë... Wiesz, czasami potrafiła naprawdę przegiąć. W końcu to właśnie przez jej kłamstwa musiałam rzucić szkołę. Cała ta historia z panem Parsonsem to była jej sprawka.

- A ja myślałam...

- Wszyscy tak myśleli! Ta Tracy...! Prawdziwa czarna owca. Jak zwykle sprowadziła biedną, małą Zoë na manowce. Chcesz wiedzieć, co się tak naprawdę stało?

Karen skinęła głową. Nieważne, czy usłyszy prawdę, czy kolejne kłamstwa. Musiała to usłyszeć. Poskładać jakoś elementy tej układanki, jaką był charakter Zoë. Zrozumieć, co nią kierowało.

- Teraz to i tak nie ma już znaczenia - mówiła dalej Tracy. - Ja odeszłam, a jego wyrzucili. Ale wołałabym, żebyś nie mówiła o niczym Zoë. Bardzo jej zależało, żebym trzymała język za zębami.

Karen ponownie przytaknęła. Kolejne tajemnice.

- Tamtego dnia trochę wypiliśmy i ta głupia krowa powiedziała mi, że jest w ciąży.

- Powiedziała ci coś takiego! - wykrzyknęła Karen, przypominając sobie zapewnienia Zoë, że Tracy o niczym nie wie. - Nie bała się, że wygadasz?

- No, co ty - obruszyła się Tracy. - Nie jestem papłą. Po pierwsze, nikomu nic nie powiedziałam, aż do tej pory! Z nas dwóch to Zoë ma długi jęzor. Niczego nie można jej powiedzieć. Poza tym, jak już mówiłam, sporo wtedy wypiliśmy, więc nie wzięłam tego na poważnie. Ciągle próbowałyśmy się nawzajem nabierać. Ale ona nie odpuszczała. Wciąż o tym mówiła. Powiedziała, że to stało się, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę.

- Uwierzyłaś jej?

- Skąd! Przede wszystkim nie przypuszczałam, żeby mogła być taka głupia. O antykoncepcji wie więcej od szkolnej pielęgniarki, która organizuje te wszystkie wykłady. Zoë zmyśla różne rzeczy dla żartu albo żeby zwrócić na siebie uwagę. Zresztą chyba wiesz, co człowiek wyprawia, kiedy jest pijany?

Karen skinęła głową, chociaż w rzeczywistości nie miała o tym zielonego pojęcia.

- Pozwoliłam jej więc ciągnąć tę zabawę. Dopytywałam się, kim jest ojciec dziecka. I



pan Parsons był na tej wycieczce... Zaczęłyśmy się wygłupiać, a ja powiedziałam, że go o to zapytam. Oczywiście wcale nie miałam takiego zamiaru. Żartowałam tylko. Ruszyłam w stronę jego gabinetu, ale chciałam go ominąć i pójść do sekretariatu. Jednak Zoë zaczęła mnie podpuszczać. „No, dalej - powiedziała. - Zapytaj go. Wyzywam cię. Zapytaj go, co tak naprawdę zdarzyło się na tamtej wycieczce...” I w końcu sama to zrobiła.

- Zoë? - Karen nie wierzyła własnym uszom.

Tracy przytaknęła, po czym dokończyła swoją opowieść:

- „Proszę pana - powiedziała wtedy Zoë. - Pamięta pan tamtą szkolną wycieczkę? Pamięta pan, co się wtedy wydarzyło? Chciałabym, żeby pan wiedział, że jestem w ciąży...”

- Powiedziała panu Parsonsowi, że jest w ciąży? - powtórzyła Karen, próbując ogarnąć ten nagły zwrot akcji.

- Dokładnie tak! Aż do tamtej chwili nie wierzyłam w ani jedno jej słowo - ciągnęła Tracy. - Myślałam, że to tylko jej kolejna bajeczka. Ale on zbladł. Zrobił się zupełnie biały na twarzy. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś był tak blady. Dopiero wtedy dodałam dwa do dwóch i zaczęłam na niego wrzeszczeć. Nie zapominaj, że wcześniej wypiałam pół butelki wódki. W końcu chyba rzuciłam się na niego, a on próbował mnie powstrzymać.

- Dlaczego nic nikomu nie powiedziałaś? Po co te wszystkie kłamstwa? Wykręty?

- Zoë błagała, żebym nic nie mówiła. Potem kazała mi powiedzieć, że się do mnie dobierał. Prosiła, żebym milczała, dopóki czegoś nie postanowi.

- A pan Parsons?

- Na jego miejscu każdy trzymałby język za zębami. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak przerażonego. Podejrzewam, że był zadowolony, kiedy całą tę sprawę wyciszono.

- A zatem twierdzisz, że Zoë mówiła prawdę - powiedziała wolno Karen. - Twierdzisz, że była w ciąży?

- Twierdzą, że tak myślała. Była o tym święcie przekonana. A on wyglądał tak, jakby coś o tym wiedział. To wszystko. A co? Dlaczego to takie ważne?

- Dlaczego to takie ważne? - powtórzyła Karen z niedowierzaniem. - Po pierwsze, ten człowiek stracił przez was pracę. Po drugie, Zoë. Nie dowiadywałaś się, co u niej słychać? Nie zastanawiałaś się, co się stało z dzieckiem?

- O, dobrze wiem, co się z nim stało - odparła Tracy obojętnym tonem.

- Naprawdę?

- Tak. Zoë zadzwoniła do mnie, kiedy rzuciłam szkołę. Powiedziała, żebym się o nic nie martwiła. To był fałszywy alarm. Myślała, że jest w ciąży, ale nie była. Takie rzeczy się zdarzają. Coś o tym wiem!

- To był tylko fałszywy alarm? Tak ci powiedziała?

- Właśnie.

- A ty jej uwierzyłaś?

- Na tyle, na ile wierzyłam we wszystko, co mówiła. Ale to musiała być prawda. To wszystko zdarzyło się kilka miesięcy temu, a przecież w tej chwili Zoë nie jest w ciąży, prawda?

- Nie - odparła Karen z namysłem. - W tej chwili Zoë na pewno nie jest w ciąży.

## ROZDZIAŁ 7

Niedobrze mi - jęknęła Karen w środę rano, odpychając od siebie talerz płatków na mleku, które przygotowała jej mama.

- Piłaś coś wczoraj?

- Nie. Mówiłam ci. Tracy wpadła do Zoë, więc powiedziałam, że pojedę z nią autobusem dla towarzystwa. Wypiłam colę, to wszystko.

Kolejne kłamstwa. Tracy wcale nie odwiedziła Zoë i postawiła Karen piwo, a nie colę. Ale wypiała tylko kilka łyčzków. Na pewno nie tyle, żeby mieć mdłości następnego dnia!

- W takim razie dlaczego jest ci niedobrze?

- Skąd mogę wiedzieć? - burknęła Karen. - Może to jakiś wirus.

Nie mogła przecież powiedzieć mamie, że dostała mdłości po wysłuchaniu porannego serwisu w radio. Mały Steven nadal był w centrum zainteresowania lokalnych mediów. Jak dotąd, matka nie zgłosiła się po niego. Policja obawiała się o jej bezpieczeństwo.

Gdyby się tylko zgłosiła - kimkolwiek jest - rozwiązałyby to wszystkie problemy. A przynajmniej ich większą część. Okazałyby się, że jedynym złem, jakie wyrządziła Zoë, było opowiadanie głupich, bezczelnych kłamstw. A jeśli matka dziecka się nie zgłosi? Co wtedy? Czego to dowiedzie? - Z opowieści Tracy jasno wynikało, że to właśnie Zoë jest główną podejrzaną, ale czy można było mieć absolutną pewność?

- Chcesz, żebym zadzwoniła do szkoły?

- Słucham? - Karen otrząsnęła się z zamyślenia.

- Mam zadzwonić do szkoły i powiedzieć, że jesteś chora?

- Nie. Pójdę. Wszystko będzie dobrze, naprawdę.

Znowu kłamstwa. Wcale nie miała zamiaru iść dzisiaj do szkoły. Wiedziała też, że nic, ale to nic nie będzie dobrze, dopóki nie pozna prawdy...

To czyste wariactwo, pomyślała, gdy trzęsący się autobus powoli podjeżdżał pod szpital. Jednak chwilowo nie miała lepszego pomysłu. Może jeśli zobaczy małego Stevena, chociaż na moment, w czymś jej to pomoże. Krótkie przebitki pokazywane w telewizji nie na wiele się zdały. Wszystkie dzieci wyglądały mniej więcej tak samo, zwłaszcza z odległości, z jakiej filmowała kamera. Może kiedy zobaczy go na żywo, rozjaśni jej się w głowie.

A może niepotrzebnie się oszukuję - pomyślała Karen, podchodząc do głównego wejścia szpitala. Może był jeszcze inny powód, bardziej osobisty, dla którego tak bardzo chciała zobaczyć to dziecko? Lepiej nie analizować zbyt dokładnie kierujących nią motywów.

Po prostu zrobi to i już.

Nie było to jednak takie proste. Karen nie miała zielonego pojęcia o szpitalach i obowiązujących tam zwyczajach. Jej rodzina zawsze cieszyła się doskonałym zdrowiem. Dziadkowie i babcie żyli i mieli się świetnie, a rodzice na szczęście nigdy nie cierpieli na nic poważniejszego niż ostre przeziębienie. W rezultacie Karen nie pamiętała, aby od czasów wczesnego dzieciństwa kiedykolwiek była w szpitalu. Tamtego pierwszego pobytu oczywiście nie pamiętała - przypominały jej o nim tylko zdjęcia, które trzymała w szufladzie pod tapczanem.

Drzwi wejściowe rozsunęły się automatycznie, gdy tylko się do nich zbliżyła. Póki co, żadnych problemów. Z uwagą przestudiowała wielką tablicę informacyjną, na której wypisane były znajdujące się na kolejnych piętrach oddziały.

Gdzie on może być? Na oddziale dziecięcym? Nie. Oddział noworodków. Położniczy. To na pewno to.

Wsiadła do windy, a potem strzałki poprowadziły ją w głąb korytarza. Nikt nie próbował jej zatrzymać. Nikt nie pytał, czego tu szuka. Dlaczego zresztą ktokolwiek miałby to robić? Wszędzie wokół kręcili się pacjenci i odwiedzający. Karen mogła być umówiona na badania. Mogła odwiedzać chorą ciocię.

Dostanie się na oddział okazało się nieco trudniejsze. Karen pokręciła się trochę po korytarzu, obserwując wchodzących i wychodzących, aż zorientowała się w obowiązującej procedurze. Przy wejściu znajdował się interkom. Żeby wejść, trzeba było podać swoje nazwisko i cel odwiedzin. Nie było sensu tego próbować. Co] by zresztą powiedziała?

„Dzień dobry, mówi Karen. Przyszłam zobaczyć małego Stevena. Chcę się przekonać, czy nie jest przypadkiem synkiem mojej koleżanki!”

Bez szans. Ale popatrzcie tylko! Karen nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Jakaś pielęgniarka czy salowa wtaczała właśnie na oddział olbrzymi kosz na kółkach, po brzegi wyładowany bielizną. Zatrzymała się w progu i, zostawiając otwarte drzwi, za - wróciła, żeby zebrać kilka rzeczy, które spadły ze sterty.

Poruszając się najciszej, jak potrafiła, Karen prześliznęła się obok kosza, pchnęła pierwsze drzwi po prawej stronie i znikła w środku, zanim kobieta zdążyła wrócić. Znalazła się w podręcznym magazynku. Wokół niej piętrzyły się półki pełne prześcieradeł, ręczników i pieluch. Nic nie szkodzi. Udało jej się wejść na oddział. O ile to był ten właściwy...

Przyciskając ucho do drzwi, nasłuchiwała. Cisza. Ostrożnie nacisnęła klamkę i wysunęła się na korytarz. Tuż przed nią, na końcu krótkiego korytarza, znajdowała się rejestracja. Jakaś pielęgniarka rozmawiała przez telefon, jedną ręką przytrzymując słuchawkę,

a drugą stukając w klawiaturę komputera. Miała oczy utkwione w ekran i wyglądało na to, że szuka jakichś danych.

Karen zdecydowała się na śmiały krok. Ruszyła naprzód, pewnym krokiem mijając rejestrację i skręcając za róg, aby zatrzymać się i przemyśleć kolejny ruch. Ale nie zdążyła go już wykonać.

- Przepraszam - powiedział głos za jej plecami.

Karen odwróciła się na pięcie i stanęła oko w oko z pielęgniarką z rejestracji.

- Mogę ci w czymś pomóc?

Było to niewinne pytanie, ale pielęgniarka wyglądała na zaskoczoną, wręcz zaniepokojoną. W sumie miała powody: oto przed nią stała dziewczynka w szkolnym mundurku, która zjawiała się niezapowiedzianie w środowy poranek i przechadzała po oddziale noworodków. Karen przeklinała siebie w duchu za taką nieostrożność. Powinna była lepiej to zaplanować, wymyślić zawczasu jakieś wiarygodne wytłumaczenie swojej obecności w szpitalu.

- Hm, no tak - zaczęła, rozpaczliwie szukając w myślach wymówki. - Mam na imię Karen. Dzwoniłam na początku tygodnia w sprawie projektu, jaki przygotowuję do szkoły. Chodzi o opiekę nad niemowlętami. Pani, z którą rozmawiałam, powiedziała, że mogę przyjść i się rozejrzeć.

Nie najgorzej, zważywszy na okoliczności, pomyślała. Podejrzewała, że sama Zoë nie wymyśliłaby lepszej bajeczki.

- Och - odparła pielęgniarka - nikt mi o niczym nie powiedział. Nie mam tego nigdzie odnotowanego. Z kim konkretnie rozmawiałaś?

- E, z siostrą... Zapomniałam nazwiska. Mam je gdzieś zapisane.

Udawała, że szuka w kieszeniach kartki papieru.

- Przykro mi, ale nie mogę znaleźć - dodała. - Jestem pewna, że miałam je przy sobie.

- Nic się nie martw - pocieszyła ją pielęgniarka. - Zaraz poproszę kogoś, żeby ci pomógł...

Na razie szło jej całkiem nieźle. Karen zaczekała, aż pielęgniarka zniknie jej z oczu, po czym ruszyła przed siebie, rozglądając się po oddziale. Niemowlęta i ich matki. Matki i niemowlęta. Ani śladu osieroconego dziecka, małego Stevena. Bliźnięta z mamą. Maluch z mamą i tatą. Niemowlę z pielęgniarką. Z pielęgniarką, nie z matką. W tej sali nie było matki. Może po prostu wyszła do toalety, a może to był Steven.

- Karen?

Odwróciła się, słysząc za plecami obcy głos, wymawiający jej imię. Głos należał do

kobiety w białym kitlu, oznaczonym identyfikatorem z napisem „Siostra oddziałowa”.

- Musiało chyba zajść jakieś nieporozumienie, kochanie - powiedziała. - Jesteś pewna, że trafiłaś do właściwego szpitala?

- Nie wiem - odparła Karen. - Tak mi się wydaje. Jestem pewna, że...

Nagle jej sytuacja zmieniła się diametralnie. Wszystko poszło nie tak, jak powinno. Słowa, które chciała wypowiedzieć, uwięzły jej w gardle i zamiast nich padły zupełnie inne.

- Czy to jest Steven? - spytała, wskazując niemowlę za przeszkloną ścianą. - Czy to ten chłopczyk, o którym mówili w wiadomościach?

- Nie - odparła siostra. - To jest dziewczynka. Dlaczego pytasz?

- Tak się tylko zastanawiałam - odparła Karen. - Ale on tu jest, prawda? W tym szpitalu?

Siostra skinęła głową, przyglądając się jej równie podejrzliwie, jak pielęgniarka z rejestracji. Ale było już za późno, żeby się wycofać. Równie dobrze mogła drażyć” temat dalej.

- To ciekawe - podjęła. - Robiłam ten projekt o małych dzieciach i zobaczyłam go w telewizji. Pomyślałam, że mogłabym coś o nim napisać. Jakiś artykuł.

Zdawała sobie sprawę, jak mało wiarygodnie to zabrzmiało. Ale wszystko wskazywało na to, że siostra połknęła haczyk.

- To znakomity pomysł.

- A mogłabym... Wiem, że to pewnie zabronione, ale czy mogłabym... go zobaczyć?

Nareszcie. Powiedziała to. Wyrzuciła to z siebie. Teraz siostra mogła jej już tylko odmówić.

- Myślę, że dałoby się to jakoś załatwić, o ile naprawdę chcesz go zobaczyć. Musimy być bardzo ostrożni, chyba to rozumiesz. Względy bezpieczeństwa. Zwłaszcza w przypadku takiego dziecka jak Steven. Ale mogłabym cię do niego zaprowadzić, jeśli chcesz.

Karen przytaknęła. To było niewiarygodnie łatwe. Poszło lepiej, niż sobie wyobrażała.

- Teraz przeproszę cię na chwilę - dodała siostra. - Najpierw muszę coś załatwić. To zajmie tylko minutkę.

Nawet mniej. Karen nie zdążyła pozbierać myśli, a siostra już wróciła, jakby bała się zostawić ją samą. Nic dziwnego. Obcy myszkuje po oddziale niemowlęcym z pewnością nie byli mile widziani. Nawet jeśli były to tylko niewinnie wyglądające uczennice. Niektórzy ludzie porywali dzieci. Karen czytała niedawno o podobnym wypadku. Pomyślała wtedy, że to okropnie niesprawiedliwe; gdy jedni byli na tyle zdesperowani, żeby ukraść cudze dziecko, inni beztrąsko porzucali swoje albo je maltretowali.

Ruszyły w stronę salki na samym końcu korytarza. Szły bardzo powoli. Siostra przez cały czas mówiła, jakby chciała jeszcze bardziej opóźnić moment pokazania jej Stevena.

- Opracowujesz ten projekt w ramach zajęć przygotowujących do egzaminu?

- Nie, to dodatkowa praca. Mogliśmy coś wybrać. Na WOS. Wiedzę o społeczeństwie

- wyjaśniła Karen na wypadek, gdyby siostrze obcy był obecny system nauczania.

- Do której szkoły chodzisz?

- Do tutejszego gimnazjum - odparła Karen ostrożnie, nie chcąc ujawniać zbyt wiele.

- Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

- Niedaleko.

- A twoi rodzice wiedzą, że przyszedłeś dziś tutaj w związku ze swoim, hm, projektem?

- Chyba wieki temu podpisywali jakąś zgodę - wymamrotała Karen.

- No to jesteśmy na miejscu.

Siostra pchnęła drzwi. W salce były już jakieś dwie kobiety. Obie młode. Jedna miała na sobie strój pielęgniarki, druga garsonkę. Siostra dała znak pielęgniarce, która natychmiast wyszła.

- To jest panna Hobbs - powiedziała siostra, zwracając się do Karen. - Opiekunka społeczna, która zajmuje się Stevenem. A to jest Karen. Chciała zobaczyć Stevena w związku z projektem, jaki przygotowuje do szkoły.

Gdy to mówiła, w jej głosie było coś dziwnego. Coś dziwnego było też w uścisku dłoni opiekunki społecznej, gdy witała się z Karen. Coś, co brzmiało - i wyglądało - na współczucie, albo nawet litość.

Karen nie miała czasu zbyt długo się nad tym zastanawiać. Jej oczy przykuł widok śpiącego maleństwa. Miało zaledwie kilka dni, ale na jego główce było już widać kosmyki ciemnych włosów. Ciemnych jak u Zoë. Nie, powiedziała sobie w myślach. Takich jak u niej samej. Jak u połowy ludzkości! W maleńkiej, pomarszczonej, śpiącej twarzyczce nie było absolutnie nic, co przypominałoby Zoë bardziej niż kogokolwiek innego. Czego właściwie się spodziewała? Pieczęci na czole? Z napisem: „Moją mamą jest...”?

Spał sobie beztrąsko, niczego nieświadomy. Nieświadomy, że jest inny od pozostałych dzieci na oddziale. Kiedy ta świadomość się w nim obudzi? Kiedy pojmie, co się stało? Kiedy ktoś mu o tym powie? Kiedy zacznie rozumieć? Szukać w sobie tego, czego nigdy nie uda mu się odnaleźć?

Poczuła otaczające ją ramię, jeszcze zanim zdała sobie sprawę, że płacze. I nie były to ciche łzy, ale gwałtowne, histeryczne łkania, które wstrząsały jej drżącym ciałem. Siostra wyprowadziła ją z salki na korytarz.

- Przepraszam - zdołała wymamrotać Karen.

- Wszystko w porządku, skarbie. Wszystko będzie w porządku. Cieszę się, że tu przyszedłaś. Dobrze postąpiłaś.

Cieszę się? Dobrze postąpiłaś? O czym ta kobieta mówi? Zanim Karen zdołała opanować się na tyle, żeby zadać jakieś sensowne pytanie, zaprowadzono ją do biura i delikatnie posadzono w fotelu. Siostra i panna Hobbs stały tuż obok. A pod oknem stał ktoś jeszcze. Ktoś umundurowany. I nie był to szpitalny uniform, tylko policyjny mundur. Karen spróbowała wstać, ale siostra natychmiast przy niej uklękła, kładąc ciężką dłoń na jej ramieniu.

- Uspokój się - powiedziała. - Nikt cię tutaj nie skrzywdzi. Chcemy tylko z tobą porozmawiać. To wszystko.

- Ale dlaczego? - wykrztusiła Karen, przeklinając się w duchu za to, że podała im swoje prawdziwe imię i że zjawiała się tu ubrana w szkolny mundurek, który bez trudu doprowadzi ich do jej szkoły. - Przecież nie zrobiłam nic złego!

- To prawda, kochanie. Nie zrobiłaś nic złego - uspokajała ją siostra. - Ale nie istnieje żaden szkolny projekt, prawda?

Skąd mogli o tym wiedzieć? Mogli się najwyżej domyślać.

- Właściwie nie. Postanowiłam sama coś przygotować.

Musiała blefować. Nie miała innego wyjścia. Wyznanie prawdy oznaczałoby przyznanie się do podejrzeń wobec Zoë. A tego nie mogła zrobić. Nie wtedy, kiedy jedynym dowodem było jej przecucie i stek kłamstw opowiedzianych przez Zoë.

- Co ja takiego zrobiłam? - spytała ponownie, czując na sobie spojrzenie trzech par oczu. - Dlaczego jest tu policja? Przecież nie chciałam go skrzywdzić. Chciałam go tylko zobaczyć.

- To całkiem normalne - odparła siostra.

Normalne? Dlaczego to powiedziała? Co mogło jej poddać taką myśl? Co oni sobie, na Boga, wyobrażali?

Nagle dotarło to do niej z całą jasnością. Wiedziała już, co pomyślała sobie siostra, co pomyślałby każdy, mając do czynienia z nastolatką, która prosi, aby zaprowadzono ją do porzuconego niemowlęcia i na jego widok wybucha płaczem. Jak mogła być taka głupia? Tak totalnie, bezdennie głupia...!

- Nie! - wykrzyknęła. - To nie tak! Mylicie się. To nie ja jestem jego matką. Tak właśnie myślicie, prawda? Ale to nie ja. Nie ja.



## ROZDZIAŁ 8

Oczekiwanie na przyjazd rodziców zdawało się nie mieć końca. Karen siedziała w ciasnym pokoiku, obiecując sobie, że nie piśnie ani słowa. Nie powie nic, co mogłoby rzucić podejrzenia na nią albo, co gorsza, na Zoë. Bała się jednak, że gdy tylko otworzy usta, wyrwie jej się coś głupiego.

Wiedziała, że jej samej raczej nic nie grozi. Jak tylko zjawią się rodzice, całe nieporozumienie zostanie wyjaśnione. Rodzice wytłumaczą przecież, dlaczego w żaden sposób nie może być matką Stevena. Będą mogli wytłumaczyć także inne rzeczy, jeśli okaże się to konieczne. Wstydliva prawda zostanie wyjawiona szeptem, w zaufaniu.

Może sama powinna wszystko wyznać? Nie, to było zbyt bolesne, zbyt trudne, aby o tym mówić. Przy odrobinie szczęścia może uda się w ogóle nie poruszać tego tematu.

Rodzice uznają, że to tłumaczy jej zachowanie. Nie będą się zbyt długo zastanawiać, dlaczego postanowiła zakraść się na oddział w poszukiwaniu cudzego dziecka. Pomyślą, że znają odpowiedź na to pytanie, a ona nie wyprowadzi ich z błędu. Nie trzeba będzie w ogóle wspominać im o Zoë.

Matka zjawiała się pierwsza. Ojciec przyjechał dziesięć minut później. Było dokładnie tak, jak Karen się spodziewała. Obie strony okazywały zakłopotanie, ale w ciągu godziny wszystko zostało wyjaśnione, a Karen zwolniona.

- Bardzo mi przykro - wymamrotała po raz kolejny siostra oddziałowa, odprowadzając ich do wyjścia. - Ale proszę się nie dziwić, że byliśmy zaniepokojeni. Uważamy, że jego matką jest bardzo młoda osoba.

- Nic nie szkodzi - odparła taktownie mama Karen. - Państwa pomyłka jest jak najbardziej zrozumiała. Przepraszamy, że Karen wywołała tyle zamieszania, ale...

- To oczywiste - przerwała siostra.

Karen postanowiła pójść jednak tego dnia do szkoły. Lepsze to, niż siedzenie w domu i wysłuchiwanie mamy, która będzie starała się jej pomóc. Tata napisał jej usprawiedliwienie, tłumacząc spóźnienie wizytą w szpitalu. Było to kłamstwo, chociaż nie do końca. Czasami trzeba było troszeczkę nagiąć prawdę... Czy coś takiego może wejść w krew? Stać się drugą naturą, jak w przypadku Zoë?

Zoë. Kolejny dzień wypełniony rozmyślaniami o Zoë. Im bliżej końca lekcji, rym większą Karen odczuwała potrzebę poznania prawdy. Ale jak do tego doprowadzić? Zanim rozległ się ostatni dzwonek, postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę i zaapelować do

wyższych uczuć Zoë, o ile w ogóle takowe posiadała.

Odebrała telefon komórkowy od pani Platt, wyszła na ulicę przed szkołą i zatelefonowała do domu. Skłamała, że musi zostać po lekcjach na niezapowiedzianej próbie szkolnej orkiestry, po czym pobiegła do Zoë.

- Jesteś u nas coraz częstszym gościem - powiedziała mama Zoë. - To dobrze. Zoë prawie z nikim się nie spotyka od czasu, gdy Tracy zrobiła się zbyt ważna, żeby bywać u takich jak my. Idź na górę. Ona nadal leży w łóżku. Jakoś nie może dojść do siebie po tej chorobie. Całkiem opadła z sił.

Kiedy Karen weszła do sypialni, Zoë odłożyła czasopismo, które przeglądała. Karen usiadła na brzegu tapczanu.

- Nie sądziłam, że jeszcze cię zobaczę - odezwała się Zoë. - Chciałam nawet wybrać się dziś rano do szkoły, ale pomyślałam, że pewnie nadal będziesz na mnie obrażona, i dałam sobie spokój.

- Nie byłam dzisiaj w szkole - odparła Karen.

- Chyba nie poszłaś na wagary? - roześmiała się Zoë. - Nie nasza grzeczna Karen!

- Byłam w szpitalu.

- Dlaczego? Ty źle się czujesz?

- Byłam ty *tamtym* szpitalu. Na oddziale noworodków. Poszłam zobaczyć małego.

- Po coś to zrobiła? Ty wariatko! - warknęła Zoë.

- Chciałam go tylko zobaczyć.

- I zobaczyłaś?

- Tak.

- Pozwolili ci? Tak po prostu? Nic im nie powiedziałaś? Chyba nie powiedziałaś, że mnie podejrzewasz!

- Nie - odparła Karen. - Nic im nie powiedziałam. Nawet wtedy, gdy wezwali policję.

- Policję? Dlaczego? Chyba nie pomyśleli, że chcesz go porwać?

- Pomyśleli, że jestem jego matką.

Zoë wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym skinęła głową. - No tak - powiedziała. - Faktycznie mogli tak pomyśleć. I jak, do diabła, udało ci się z tego wyplątać?

- Wezwali moich rodziców, a oni wyjaśnili, dlaczego to w żadnym wypadku nie mogę być ja. Jak mogliby się nie zorientować, że ich córka jest w ciąży? Sama powiedziałaś, że to niemożliwe.

- I nikt się nie zastanawiał, dlaczego tak bardzo się nim interesujesz?

- Nawet nie - odparła prędko Karen. - Wiesz, mnóstwo ludzi słyszało o tej sprawie.

Udawałam ciekawską. Prawdopodobnie pomyśleli, że jestem trochę świrnięta.

- Bo jesteś - zawołała Zoë. - Naprawdę, Karen, to się musi skończyć. Inaczej wpakujesz nas obie w kłopoty. Jesteś pewna, że niczego im nie powiedziałaś?

- A bo co? - odezwała się cicho Karen. - A jeśli nawet coś powiedziałam? Czego tak bardzo się boisz? W najgorszym razie kazaliby ci się przebadać. I wtedy wszystko by się wyjaśniło, prawda? Wszyscy poznaliby prawdę.

- Ja już znam prawdę, wielkie dzięki - prychnęła Zoë. - Ty też byś ją poznała, gdybyś nie była taka tępa.

- Wczoraj wieczorem spotkałam Tracy - powiedziała Karen, puszczając tę uwagę mimo uszu.

- To miło - odparła spokojnie Zoë. - Co u niej słychać?

- Wszystko w porządku. Jej kariera modelki kwitnie, a przynajmniej ona tak twierdzi.

- Niektórym to dobrze.

- Czegoś się od niej dowiedziałam - wypaliła Karen. - Opowiedziała mi o tamtej aferze z panem Parsonsem. O tym, co naprawdę się wtedy zdarzyło.

- Jasne. - Zoë poprawiła sobie poduszkę. - Którą wersję ci opowiedziała?

- Tę, w której przyznałaś się jej, że jesteś w ciąży.

- Naprawdę? Nie pamiętam, żebym ją też próbowała na to nabrać. Pamiętam za to, że było dokładnie odwrotnie.

- A pamiętasz, że powiedziałaś o ciąży panu Parsonsowi?

- Nie.

- Wiecznie będziesz temu zaprzeczać?

- Powtarzam ci po raz ostatni, że niczemu nie zaprzeczam. Jeżeli to jedyny temat, na który potrafisz głądzić, to lepiej od razu sobie idź. Zaczynasz mnie wkurzać.

- Okej - powiedziała Karen. - W takim razie wychodzę. Podniosła się i w tej samej chwili drzwi do sypialni Zoë stanęły otworem.

- Dzwoniła twoja mama, Karen - oznajmiła matka Zoë. - Pytała, czy u nas jesteś. Była porządnie zdenerwowana, bo twoja komórka nie odpowiada.

- Nic dziwnego - odparła Karen. - Jest wyłączona.

- Tak czy owak, prosiła, żebyś zaraz wracała do domu.

- Właśnie wychodziłam - wyjaśniła Karen.

Matka Zoë odwróciła się i zeszła w dół po schodach, kołysząc biodrami.

Karen przystanęła w progu i spojrzała na Zoë. Pomyślała, że spróbuje jeszcze raz. Ostatni raz.

- Nie jesteś ciekawa, jak on wygląda? - spytała.

- Kto?

- Mały Steven!

- Podejrzewam, że i tak mi powiesz.

- Jest cudowny, Zoë. Naprawdę maleńki. A właściwie wyglądał na malutkiego, ale opiekunka społeczna powiedziała, że ma dobrą wagę i je tyle, ile trzeba.

- Opiekunka społeczna? A po co mu ktoś taki? Przecież nie zdążył jeszcze narozrabiać.

- Opiekunka znajdzie mu rodzinę zastępczą - warknęła Karen, zirytowana nonszalancją Zoë.

- Chcesz powiedzieć, jeśli nie zgłosi się jego prawdziwa matka?

- Oczywiście.

- A gdyby się jednak zgłosiła - powiedziała wolno Zoë. - Jak myślisz, co by się wtedy stało?

- Nie wiem - odparła Karen. - Pewnie dużo zależałoby od jej warunków finansowych, zdrowia i tak dalej. Prawdopodobnie mogłaby zdecydować, że odda go do adopcji.

- Pozwoliliby jej na to?

- Tak mi się wydaje. Gdyby tego chciała.

- To po co w ogóle się zgłaszać? Przecież to na jedno wyjdzie? A tak przynajmniej mogę oszczędzić sobie kłopotu.

Karen, która była już przy drzwiach, odwróciła się gwałtownie i znowu przysiadła na brzegu łóżka.

- Powiedziałaś: mogę.

- Co takiego? - spytała Zoë.

- Powiedziałaś: mogę oszczędzić sobie kłopotu. Zamiast: można oszczędzić sobie kłopotu. Powinnaś była chyba powiedzieć: można?

- Coraz lepiej - zaśmiała się Zoë. - Zmieńmy więc temat i porozmawiajmy o subtelnościach gramatyki naszego pięknego języka. A tamto, to było ogólnie. Tak się czasem mówi i tyle.

Gdy Karen rozważała w milczeniu tę możliwość, rozległo się pukanie do drzwi.

- Przepraszam, dziewczynki - odezwała się matka Zoë, wchodząc do pokoju. - Nie chcę wam przeszkadzać, ale znowu dzwoni mama Karen. Pyta, czy już wyszłaś, czy może wolisz, żeby po ciebie przyjechała. Chce z tobą rozmawiać.

- Może jej pani powiedzieć, że już idę? - odparła Karen, zirytowana tą nagłą

przeszkodą akurat teraz, gdy coś wreszcie drgnęło.

- Spróbuję, ale trudno się z nią rozmawia. Zawsze tak się zachowuje? Wydaje się strasznie spięta. Poskarżyła się, że ostatnio jesteś jakaś dziwna. Też mi nowina! Tak to jest z tymi nastolatkami, powiedziałam jej. Z moją Zoë człowiek nie zna dnia ani godziny, powiedziałam. Ta to dopiero miewa zmienne nastroje! Żeby urządzać sobie spacer w środku nocy...

- Wystarczy, mam - przerwała jej Zoë. - Karen już rozumie.

- Chyba właśnie zaczynam - mruknęła Karen.

- Tak czy owak - ciągnęła matka Zoë. - Chyba lepiej wrócę do telefonu. Mam jej powiedzieć, że wychodzisz, czy poprosić, żeby po ciebie przyjechała?

Karen otworzyła usta, ale głos, który się rozległ, należał do Zoë:

- Powiedz, że z Karen wszystko w porządku. Nie musi się o nic martwić. Powiedz jej, że Karen zostanie u nas na obiedzie.

- Nie wiem, czy ta wiadomość ją ucieszy.

- Nic mnie to nie obchodzi! Porozmawiaj z nią! Załatw to jakoś, dobrze? - warknęła Zoë.

- Spróbuję - odparła jej mama uspokajającym tonem. - Nie spodziewaj się niczego wyjątkowego na obiad, Karen. Mam tylko paluszki rybne z frytkami. Mogą być?

- Brzmi zachęcająco - odparła Karen. - Ale nie mogę zostać.

- Zostanie - przerwała jej Zoë, wygrzebując się z pościeli i niemalże wypychając matkę za drzwi.

Gdy Karen próbowała pójść za nią, Zoë zastąpiła jej drogę.

- Nie wygłupiaj się - odezwała się Karen. - Nie zmusisz mnie, żebym tu została. Nie zmusisz mnie też do milczenia. Podjęłam już decyzję. Powiem o wszystkim mojej mamie. Powtórzę jej, co mi powiedziałaś. Powiem, co o tym myślę, a ona już będzie wiedziała, co robić dalej.

- Nie musisz jej nic mówić, Karen. A przynajmniej nie teraz. Jeszcze nie. Usiądź, proszę cię. Nie zostawiaj mnie samej. Wszystko ci opowiem. Powiem ci, co się naprawdę wydarzyło, a wtedy będziesz musiała mi pomóc...

Wbrew własnemu zdrowemu rozsądkowi Karen pozwoliła zaprowadzić się z powrotem do sypialni i usadzić na brzegu łóżka.

- Miałaś rację - szepnęła wtedy Zoë. - Miałaś rację od samego początku. To moje dziecko.

## ROZDZIAŁ 9

Ale dlaczego? - spytała Karen, również szeptem. - Dlaczego to zrobiłaś? Jak mogłaś to zrobić?

- Chodzi ci o fizyczne doznania czy emocje?

- Zoë! - Karen ze wszystkich sił starała się zachować zimną krew i nie podnosić głosu.

- Nie mogę w to uwierzyć! Nawet w takiej sprawie nie potrafisz zachowywać się poważnie.

- Ależ jestem poważna, i to bardzo.

- No więc?

- No więc to było bardzo proste. W pewnym sensie. Nie, nie przerywaj - powiedziała Zoë, widząc, że Karen znowu otwiera usta. - Pozwól mi to wytłumaczyć tak, jak potrafię. Od dawna wiedziałam, że jestem w ciąży, pamiętasz? Ale kiedy to się wreszcie stało, byłam całkowicie zaskoczona. Jak wiesz, aż dotąd nikomu nie powiedziałam o dziecku. Oprócz ciebie i Tracy. Tracy zamydliłam w końcu oczy, mówiąc, że to był fałszywy alarm i, o ile wiem, natychmiast zapomniała o całej sprawie. Przestałyśmy się widywać, dlaczego więc miałyby się nad tym dłużej zastanawiać? Chciałam też powiedzieć mamie, ale jakoś nie trafiła się dobra okazja. A potem to się stało. Już w sobotę wieczorem kiepsko się czułam. Bolał mnie brzuch. Pomyślisz, że tej sytuacji trudno w to uwierzyć, ale udało mi się wmówić sobie, że to tylko grypa.

Zoë wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- W niedzielę było coraz gorzej. Nie mogłam podnieść się z łóżka. Wtedy nareszcie mnie olśniło. O rany, pomyślałam, chyba zaczynam rodzić! Jedyną rzeczą, o jakiej potrafiłam wtedy myśleć, było: jak mam to wytłumaczyć mamie? Układałam sobie w głowie rozmaite wyjaśnienia. Kiedy w końcu wymyśliłam, jak jej to oznajmić w najbardziej delikatny sposób, o trzeciej po południu zjawił się on.

- Kto? - spytała Karen, nie mogąc się doczekać, kiedy Zoë dojdzie do końca tej opowieści.

- Mój tata. Przyjechał sam. Nigdy nie przyprowadza tu swojej nowej dziewczyny. Boi się! Podejrzewam, że mama by ją zabiła. Tak więc przyjechał mnie odwiedzić. Był strasznie wylewny i przyjacielski, dopóki nie przypomniałam mu, że przegapił moje urodziny i od dwóch miesięcy zalega z alimentami.

Wtedy odrobinę się zmieszał i powiedział, że właśnie z tego powodu przyszedł. Spodziewałam się, że da mi przynajmniej pięćdziesiąt funciaków, ale gdzie tam. Zawołał

mamę i zaczął swoje lamenty. Gadał o recesji, narzekał, że interes ciągle nie przynosi zysków. Mówiąc krótko, oznajmił nam, że przez jakiś czas nie dostaniemy od niego ani pensa.

Karen spróbowała przybrać współczujący wyraz twarzy, zastanawiając się jednocześnie, do czego ta opowieść zmierza.

- Zaczęła się awantura jak się patrzy - ciągnęła Zoë. - Mama wytknęła ojcu, że o ile wie, jakimś cudem udało mu się ostatnio sfinansować aż trzy wycieczki zagraniczne. Kiedy jeszcze był z nami, miałyśmy szczęście, jeśli zabierał nas na jeden dzień do Filey, a tu nagle miesiąc w Egipcie! Ojciec na to, że wtedy nie zdawał sobie jeszcze sprawy z powagi sytuacji. Oczywiście mama i ja nie uwierzyłyśmy w ani jedno jego słowo, bo zawsze łągał jak z nut.

To ostatnie zdanie sprowadziło Karen z powrotem na ziemię. Przez chwilę dała się omotać i nawet poczuła szczere współczucie dla Zoë. Teraz jednak pomyślała, że nie ma żadnej pewności, iż koleżanka mówi prawdę.

- Wyobrazasz sobie - mówiła dalej Zoë - że ukrywał swój romans przez dwa lata, zanim mama w końcu go nakryła? Dwa lata weekendowych konferencji i służbowych spotkań, które były tylko jego wymysłem. I przez cały ten czas miał czelność mnie pouczać, że powinnam być bardziej odpowiedzialna i poważnie traktować swoje obowiązki! A kiedy mama o wszystkim się dowiedziała, podkulił ogon i zniknął, nie mówiąc choćby „przepraszam”. Potem tłumaczył, że to jej własna wina, bo się roztyła i nie chciała chodzić do różnych modnych restauracji, które on uwielbia. Tak więc nawijał nam o swoich problemach finansowych, o tym, jak to mu na nic nie starcza, a ja siedziałam, trzymając się za brzuch i kombinując, jak by mu zamknąć usta. Powiem mu o dziecku, pomyślałam. To go dopiero zaskoczy.

- Ale nic nie powiedziałaś?

- Nie zdążyłam - wyjaśniła Zoë. - W jednej chwili mówił o podatkach, jakie musi zapłacić, a w następnej rzucił swoją własną bombę. Powiedział, że Lorraine jest w ciąży. Lorraine to jego partnerka. Rozumiesz?

Karen zrozumiała. Zrozumiała, jak to jedno zdanie mogło wszystko zmienić, nim Zoë zdążyła cokolwiek wyjaśnić.

- Mama całkiem się wściekła. Jest podobna do mnie, odsuwa od siebie wszystkie nieprzyjemne sprawy tak długo, aż w końcu nie ma wyjścia i musi stawić im czoła. Myślę, że cały czas miała nadzieję, że ojciec jednak do nas wróci. Że Lorraine mu się znudzi albo, co bardziej prawdopodobne, że ona znudzi się nim. Ale skoro mają mieć dziecko... Mama musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Ojciec już z tamtą zostanie. Powiedział zresztą, że planują ślub. Wtedy mama nie wytrzymała i zaczęła rzucać w niego wszystkim, co jej wpadło w ręce:

kapciami, krzesłem, dzbankiem na wodę. Wszystkie te graty latały po moim pokoju.

- O kurczę! - szepnęła Karen, z trudem wyobrażając sobie tak karczemną awanturę.

- To było nawet całkiem zabawne - stwierdziła Zoë. - Tata był tak nakręcony myślą, że znowu zostanie ojcem, że prawie nie zwracał na to uwagi. Uchylił się tylko raz za razem, żeby niczym nie oberwać, i przez cały czas miał ten głupi, rozanielony wyraz twarzy. Nie wiedziałam, śmiać się czy płakać. W końcu dałam nura pod kołdrę i czekałam, aż to się skończy.

- I skończyło się?

- Pewnie. Wiedziałam, że prędzej czy później mamie zabraknie energii. Albo rzeczy do rzucania! Kiedy się trochę uspokoiła, ojciec podjął wątek dokładnie w tym miejscu, w którym go przerwał. Wyjaśnił, że teraz, kiedy dziecko jest w drodze, będzie musiał ostrożniej wydawać pieniądze. Chciałam wrzasnąć: a co ze mną? Co z moim dzieckiem? Czułam jednak przez skórę, że nie byłby zbyt zachwycony, słysząc, że prawie jednocześnie zostanie ojcem i dziadkiem.

- Więc nic nie powiedziałaś? Zoë przytaknęła.

- Ale nie z powodu ojca - odparła wolno. - Tak naprawdę nic nie powiedziałam ze względu na mamę. Po tej całej awanturze, krzykach i rzucaniu przedmiotami, nagle całkiem umilkła i zrobiła się strasznie blada. Po jego wyjściu przez dziesięć minut nie ruszała się z miejsca. A potem powiedziała, że boli ją głowa i musi się położyć. Zostałam więc całkiem sama. Te moje bóle były coraz częstsze, a ja nie miałam zielonego pojęcia, co robić.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do kogoś? Do lekarza, do mnie, do kogokolwiek?

- Nie wiem - mruknęła Zoë. - Po prostu leżałam tutaj jak w jakiejś malignie i czekałam, co będzie dalej. Ale nic się nie działo, przez bardzo długi czas. W końcu nawet wstałam i zrobiłam mamie filiżankę herbaty.

- A ona nadal niczego dziwnego nie zauważyła? To niemożliwe - stwierdziła Karen. - To zwyczajnie niemożliwe.

- Prawie nie zauważyła mojej obecności, a co dopiero tego, jak wyglądam - odparła Zoë. - Chodząc po domu, zakładałam rozciągnięte swetry na koszulę nocną, żeby ukryć wystający brzuch. Zresztą, jak wiesz, nie był wcale taki wielki. Poza tym twierdziłam, że mam grypę. To wyjaśniało, dlaczego nie wyglądam najlepiej. I to już wszystko.

- Niezupełnie - zaprotestowała Karen. - Wciąż mi nie wyjaśniłaś, w jaki sposób udało ci się urodzić dziecko bez niczyjej pomocy i w taki sposób, że twoja mama w niczym się nie zorientowała.

Nastąpiła chwila ciszy. Nagle Karen zaświtało w głowie pewne podejrzenie.



- Powiedziałaś mi prawdę, Zoë? To nie jest twoja kolejna sztuczka? Nie mówisz mi tego, co według ciebie chcę usłyszeć?

Zoë uśmiechnęła się.

- Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak właśnie było - odparła.

Karen jej uwierzyła, choć z trudem. Opowiadając o narodzinach dziecka, Zoë nie okazała żadnych uczuć, nie uroniła ani jednej łzy. Uśmiechała się tylko spokojnie, a jej uśmiech wyrażał całkowitą obojętność.

- To było tak - zaczęła Zoë. - Mama wzięła pigułki nasenne i popiła je herbatą. Wiedziałam, że po nich i po tych tabletkach, które wzięła wcześniej na ból głowy, będzie zupełnie nieprzytomna. Byłam zdana wyłącznie na siebie. Prawdę mówiąc, nawet za bardzo się nie bałam. Bóle trochę ustąpiły, więc wróciłam do łóżka. Było już dobrze po dziewiątej, a ja czułam się całkowicie wykończona. Obudziłam się nad ranem w poniedziałek. I wtedy to się stało. Tak po prostu. Nic nie mów, Karen! Nie opowiadaj mi tych okropnych historii o swojej cioci Pat i jej znieczuleniu zewnątrzoponowym czy o przyjaciółce twojej mamy, która miała cesarkę! Mogę ci tylko powiedzieć, że w moim przypadku było zupełnie inaczej. W jednej chwili poczułam paskudny skurcz, a w następnej urodziłam dziecko.

- Niesamowite - szepnęła Karen.

- Tak - uśmiechnęła się Zoë. - To nawet zabawne. Po raz pierwszy od lat decyduję się nie kłamać, a prawda okazuje się bardziej niewiarygodna niż wszystkie moje łgarstwa razem wzięte.

- A co potem? - dopytywała się Karen. - Co potem zrobiłaś? Jak się czułaś, na litość boską?

- Chyba w ogóle nic nie czułam. To było dziwne. Po prostu wiedziałam, co powinnam zrobić. Zupełnie jakbym przeżyła to już kiedyś w poprzednim życiu, czy coś w tym rodzaju.

- To raczej skutek tych wszystkich filmów edukacyjnych, które puszczała nam szkolna pielęgniarka - stwierdziła Karen. - Tak czy owak, to niewiarygodne. Chyba za żadne skarby nie byłabym w stanie...

- Chyba nie - przerwała jej Zoë. - Nie wiesz, że coś potrafisz, dopóki nie jesteś zmuszona tego zrobić. Tak jak ja. Przecięłam pępowinę, umyłam dziecko i zawinęłam w stary koc. A potem trzymałam je na rękach, patrzyłam na nie i czekałam, sama nie wiem na co. Myślałam, że coś poczuję. Jakiś nagły przypływ macierzyńskiej miłości. Ale nie. Było tak, jakbym trzymała całkiem obce dziecko. Jakby nie miało ze mną nic wspólnego. Och, na miłość boską, Karen!

Zoë podała jej pudełko chusteczek, dodając:

- Ależ z ciebie mięczak.

- Przecież mówimy o dziecku - zdołała wykrztusić Karen przez łyzy. - O twoim dziecku, Zoë. Siedzisz tu i mówisz mi spokojnie, że nie chcesz mieć z nim nic do czynienia?

- Wcale tak nie powiedziałam - warknęła Zoë. - To nie tak. Czułam raczej, że to on nie chce mieć ze mną nic do czynienia.

- Nie bądź śmieszna!

- A dlaczego miałyby być inaczej, pomyślałam - mówiła dalej Zoë, ignorując uwagę Karen. - Kto chciałby mieć taką matkę jak ja?

- Bardzo sprytnie - zauważyła Karen, czując, że nagły rumieniec gniewu osusza płynące po jej policzkach łyzy. - Odwróć kota ogonem. Usprawiedliwiał się, jeśli ma ci to poprawić samopoczucie.

- Błagam, nie praw mi teraz kazań. Nie wiesz, co byś zrobiła na moim miejscu. Ja nie wiedziałam! Przecież nie zaplanowałam tego wszystkiego. Nie postanowiłam sobie, że urodzę dziecko i porzucę je na czyimś progu.

- W takim razie, o czym myślałaś?

- O to właśnie chodzi. Wcześniej w ogóle o tym nie myślałam, więc kiedy zaczął płakać, spanikowałam. Nie, to nie była panika. Zachowywałam się tak, jakby ktoś mną sterował za pomocą automatycznego pilota. Miałam w głowie tylko jedną myśl: nikt nie musi się o tym dowiedzieć. On zjawił się tak cichutko. Tak łatwo. Teraz wystarczy tylko...

- Pozbyć się go?

- Nie zachowuj się tak, jakbym go zamordowała albo coś w tym stylu, Karen. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby nic mu się nie stało. Wyłożyłam pudełko gazetami, zadbałam, żeby mu było ciepło i tak dalej. Nawet zaczekałam, aż zrobiło się prawie jasno, żeby ktoś go od razu znalazł...

Wielkie rzeczy, miała ochotę powiedzieć Karen. Też mi bohaterka! Naprawdę czuła matka! Ale nie odezwała się. Czekala. Czekala, żeby Zoë okazała choć cień skruchy, żalu, wyrzutów sumienia, jakikolwiek dowód na to, że zależy jej na dziecku.

- Resztę właściwie już znasz. Zostawiłam go przed drzwiami przychodni i wróciłam do domu. Było trochę strachu, bo mama mnie nakryła i spytała, dokąd wychodziłam. Powiedziałam jej, że zwymiotowałam i chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. To było mistrzowskie posunięcie, bo jednocześnie wyjaśniało, dlaczego wrzuciłam całą pościel do prania i dlaczego nie czułam się na siłach iść do szkoły. To wszystko.

- Niezupełnie - powiedziała Karen. - Nie zastanawiałaś się później, co się z nim stało? Nic cię to nie obchodziło?

- Oczywiście, że mnie obchodziło - odparła Zoë. - Całymi dniami nie odchodziłam od radia i telewizora. Zanim zadzwoniłaś, zdążyłam już to wszystko obejrzeć ze sto razy. Ale musiałam udawać, że o niczym nie wiem. Wiedziałam, co sobie pomyślisz. Żałowałam, że w ogóle ci powiedziałam. Gdyby nie to...

- Udałoby ci się ze wszystkiego wykręcić. Porzuciłabyś go, prawda? Porzuciłabyś go i zapomniałabyś, że kiedykolwiek istniał.

- No, nie wiem. Ciągle o nim myślę.

- Jasne.

- Wiem, jakie masz o mnie zdanie, Karen. I wcale ci się nie dziwię. Nie miałabym ci za złe, gdybyś już nigdy nie uwierzyła w żadne moje słowo. Ale uwierz w to, co ci teraz powiem, dobrze? Myślę o nim w każdej minucie, w każdej sekundzie dnia. Codziennie. Kiedy przyszłaś i powiedziałaś, że go widziałaś, miałam ochotę cię zabić. Bo to powinnam była być ja. To ja powinnam była tam pójść. Chciałam to zrobić, ale nie potrafiłam...

Karen jakoś nie mogła jej uwierzyć. To po prostu nie brzmiało szczerze, ta nagła skrucha, ta nagła zmiana frontu. Ale z Zoë nigdy nic nie było wiadomo. Kto mógł odgadnąć, co jej chodzi po głowie?

- No, i co teraz? - spytała, kompletnie ogłupiona.

- Teraz mi pomożesz...

## ROZDZIAŁ 10

Okej - odezwała się Karen, czując, że powinna wykorzystać ten nagły przypływ wyrzutów sumienia, zanim Zoë znówu się rozmyśli. - Pomogę ci. Ale najpierw musimy powiedzieć o wszystkim twojej mamie.

- W porządku - odparła Zoë. Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. - Zejdziemy na dół i porozmawiamy z nią. Powiesz jej...

- Nie ma mowy - przerwała jej Karen. - Mogę zejść z tobą dla towarzystwa. Ale to ty jej powiesz.

Okazało się jednak, że żadna z nich nie będzie miała okazji niczego powiedzieć. Kiedy zeszły na dół, matki Zoë nie było. Na stole leżała kartka z informacją, że musiała wyskoczyć do sklepu po dodatkowe paluszki rybne.

- Cóż, to nie powinno długo potrwać - stwierdziła Karen.

- Zależy, kogo tam spotka - mruknęła Zoë. - Potrafi gadać godzinami.

Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Karen bała się, że jeśli matka Zoë wkrótce się nie zjawi, koleżanka straci odwagę i zmieni zdanie.

- Posłuchaj - rzuciła wreszcie Zoë, jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane obawy Karen. - Nie wytrzymam dłużej tego czekania. Muszę coś zrobić, i to zaraz. Może zadzwonimy pod ten specjalny numer, który podawali?

- Dobry pomysł - ucieszyła się Karen. - Zapisałam go gdzieś.

- Ja też - odparła Zoë. - Nawet nie muszę sprawdzać, znam go na pamięć. Niewiele brakowało, a zadzwoniłabym tam zaraz po pierwszych wiadomościach. Naprawdę! No, dobra. Miejmy to już z głowy.

Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer. Karen usłyszała dźwięk sygnału, a potem czyjś głos, ale nie zrozumiała ani jednego słowa, bo Zoë prawie natychmiast się rozłączyła.

- Nie mogę tego zrobić. Przykro mi, Karen. Po prostu nie mogę.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Karen. - Poczekamy na twoją mamę.

- Nie - powiedziała Zoë. - Nic nie rozumiesz. Nie mogę nikomu o tym powiedzieć. Nie mogę się przyznać. Nie chcę.

- No to masz pecha - warknęła Karen. - Bo teraz nie masz już wyjścia.

- I co się ze mną stanie? - spytała Zoë, która nagle zaczęła przypominać przerażone dziecko. - Co oni ze mną zrobią? Mogą mnie aresztować. Wsadzić do więzienia. Nie możesz

do tego dopuścić. Nie wolno ci.

- Nie wydaje mi się, żeby to zrobili - uspokoiła ją Karen. - Naprawdę tak uważam. Ucieszą się, że zdecydowałaś się zgłosić. Nikt cię nie aresztuje. Każą ci tylko poszukać pomocy specjalisty, psychologa, czy kogoś takiego. Żebyś wiedziała, co jest najlepsze dla ciebie i Stevena.

- Ale dlaczego? - nie ustępowała Zoë. - Dlaczego mam przez to wszystko przechodzić? Nie lepiej po prostu o wszystkim zapomnieć? Proszę cię, Karen. Nikomu nic nie mówmy. Po co mam niszczyć sobie życie? Po co mam niszczyć życie mojej mamie?

- A jego życie? - spytała cicho Karen.

- Nic mu nie będzie - odparła szybko Zoë. - Dobrze o tym wiesz. Na świecie jest pełno ludzi, którzy zrobiliby wszystko, żeby mieć dziecko. Ktoś go adoptuje i pokocha jak to wymarzone.

- A co będzie, kiedy dorośnie? Co wtedy? Co będzie, kiedy się dowie, że jest adoptowany?

- Musi się o tym dowiedzieć?

- Oczywiście, że tak - prychnęła Karen.

- Wielkie rzeczy - rzuciła Zoë. - Mnóstwo dzieciaków jest adoptowanych.

- Pewnie - odparła Karen. - Ale większość z nich ma przynajmniej jakie - takie pojęcie o swoim pochodzeniu. Wiedzą, kim byli ich biologiczni rodzice i dlaczego nie mogli ich zatrzymać, tego typu rzeczy. Wyobraź sobie, jak to jest, kiedy nic nie wiesz. Wyobraź sobie: dowiadujesz się, że ktoś cię porzucił na progu przychodni w kartonie po chrupkach! Pomyśl o tym, Zoë!

- Jestem pewna, że jego przybrani rodzice jakoś mu to wyjaśnią. Powiedzą mu o tym w jakiś delikatny sposób. Zresztą, jakie to może mieć znaczenie, jeśli będzie z nimi szczęśliwy?

- Ty nic nie rozumiesz, prawda? - syknęła Karen. - Może powinnam jaśniej ci to wytłumaczyć...

A więc nadeszła ta chwila, której tak się obawiała. Musi podjąć decyzję. Mogłaby po prostu stąd wyjść. Wrócić do domu. Podnieść słuchawkę, zawiadomić policję o tym, co zrobiła Zoë, i zostawić im całą resztę.

Ale mogła też spróbować nakłonić Zoë, żeby sama się przyznała. Sprawić, by zrozumiała, że to najlepsze wyjście. Ale mogła to zrobić tylko w jeden sposób, wykładając swoją ostatnią kartę. Zdradzając własną tajemnicę. Wyjawiając swoją historię.

- Co takiego chcesz mi wytłumaczyć? - spytała Zoë.

- Powiem ci coś, dobrze? - zaczęła Karen. - Coś, czego nikomu dotąd nie mówiłam. Coś, o czym nikt inny nie powinien się dowiedzieć. Więc nikomu tego nie powtarzaj, zwłaszcza w szkole. Nie mów o tym Tracy ani swojej mamie, ani nikomu innemu.

- Okej. Wyrzuć to z siebie. Nikomu nie powiem.

- Obiecuj.

- Obiecuję.

- Powiedziałas, że to nie jest ważne, prawda? Że dopóki Steven będzie szczęśliwy ze swoimi przybranymi rodzicami, nie będzie go obchodziło, w jakim kartonie został znaleziony ani kto go w nim porzucił.

- Tak właśnie myślę.

- W takim razie dowiedz się, że to nieprawda.

- I to wszystko? To jest ta twoja rewelacja?

- W pewnym sensie. Ponieważ ja wiem, Zoë. Wiem dokładnie, jak on będzie się czuł, bo sama się tak czuję. Moi rodzice, ludzie, z którymi mieszkam, moi przybrani rodzice, są wspaniali.

- Jesteś adoptowana?! - spytała Zoë z niedowierzaniem. - To właśnie chciałaś mi powiedzieć?

- Tak - odparła Karen. - Jestem adoptowana. I moi rodzice rzeczywiście kochają mnie jak to wymarzone dziecko, jak sama to ujęłaś. Ja też ich kocham.

- Faktycznie, ty prawie zawsze wyglądasz na całkiem szczęśliwą - stwierdziła Zoë. - Na swój nudny sposób.

- Tak. Jestem całkiem szczęśliwa.

- No, więc sama widzisz. Z nim też tak będzie. Też będzie całkiem szczęśliwy. Będzie z ludźmi, którzy będą go naprawdę chcieli...

- Jeszcze nie skończyłam - przerwała jej Karen. - Przez większość czasu jestem całkiem szczęśliwa, bo o tym nie myślę i nie mówię. Wymazuję to. Ale potem nagle coś się wydarza, widzę coś, czytam o czymś albo o czymś słyszę i to wszystko do mnie wraca, Ta pustka, pytanie, kim jestem i skąd się wzięłam. Zastanawiam się, jakim ona była człowiekiem. Moja matka. Dlaczego mnie zostawiła i nigdy nie próbowała odnaleźć?

- Poczekaj - odezwała się Zoë. - Mówisz mi, że nie tylko zostałaś adoptowana, ale że ktoś cię zostawił? Porzucił? Tak jak ja porzuciłam Stevena?

- Prawie tak samo, ale nie do końca. Ja byłam trochę starsza. Miałam prawie trzy miesiące. A moja matka, kimkolwiek była, nie zostawiła mnie na schodach przychodni. Ani na niczych schodach. Porzuciła mnie w publicznej toalecie. W parku. W Manchesterze. To

wszystko, co wiem o swoim pochodzeniu, o swoich korzeniach. Nie wiem, gdzie się urodziłam ani kim byli moi biologiczni rodzice. Nie mam absolutnie żadnej pewności, kto mnie porzucił. To mogła być moja matka, ale równie dobrze mógł to zrobić każdy. Ojciec. Babka. Sąsiad. Niania albo nieodpowiedzialna opiekunka.

Nie wiem, jakie miałam unię ani czy ktokolwiek w ogóle nadał mi imię, zanim zostałam Karen. Nie wiem nawet, kiedy się dokładnie urodziłam. Dzień moich urodzin został wymyślony. Podany w przybliżeniu przez lekarza, który akurat miał dyżur, kiedy mnie znaleziono i przywieziono do szpitala. Podobno byłam w kiepskim stanie. Ten, kto się mną opiekował, nieszczególnie się popisał. Zresztą może dlatego mnie zostawił. Chodzi jednak o to, Zoë, że tego nie wiem. I nigdy się nie dowiem. Jakkolwiek bym się nie starała, jakkolwiek nie staraliby się moi przybrani rodzice, ta wyrwa w człowieku zostaje i strasznie trudno jest z nią żyć.

Mówiąc to wszystko, Karen prawie nie patrzyła na Zoë. Teraz podniosła głowę i czekała na jej reakcję. Kiedy ta nadeszła, Karen poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Spodziewała się różnych rzeczy, ale nie czegoś takiego. Zoë wybuchnęła śmiechem. Śmiała się, naprawdę się śmiała.

- Oj, Karen, daj spokój - powiedziała, chichocząc. - Wiem, że bardzo się starasz, ale nie pobijesz mnie moją własną bronią. Ile czasu zajęło ci wymyślenie tej bajeczki?

- Wymyślenie! - wrzasnęła Karen. - Zwariowałam? Niczego nie wymyśliłam! To wszystko prawda! Każde słowo było prawdą!

- Ależ to niemożliwe!

- Zgadzam się, że to nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Dlatego nie wierzyłam własnym oczom, kiedy zobaczyłam Stevena w wiadomościach w telewizji. Nigdy nie przypuszczałam, że poznam kogoś, kogo los będzie tak podobny do mojego. Że będę miała koleżankę, która zrobi coś takiego, jak ty. Że znowu będę musiała przeżywać to wszystko od początku. Dlatego musiałam go zobaczyć. Dlatego tamtego dnia musiałam pójść do tego szpitala. To było tak, jakbym oglądała samą siebie...

- Dostyc - przerwała jej Zoë. - Przestań. Nie wierzę ci. To nie może być prawda. Na litość boską, Karen, uważasz mnie za idiotkę? Widziałam twoich rodziców. Oboje. Przecież ty nawet jesteś do nich podobna. Jeśli chcesz, możesz mnie nazwać rasistką, ale po prostu trudno tego nie zauważyć, prawda? Twoja mama jest biała, tata czarny, a ty gdzieś pośrodku. Zresztą nie chodzi tylko o kolor skóry. Mówisz jak twoja mama. Macie takie same gesty. Kiedy słuchasz, przechylasz na bok głowę w taki śmieszny sposób. Ona też tak robi. Jak, u diabła, możesz twierdzić, że zostałam adoptowana?

- Nie wiem, dlaczego to robię - westchnęła Karen. - Nie wiem, dlaczego w ogóle próbuję ci cokolwiek wytłumaczyć, skoro i tak w głębi duszy wiem, że to nic nie zmieni. Nadal będziesz postępować równie samolubnie, jak do tej pory, wierząc w to, w co chcesz wierzyć, i robiąc to, co chcesz robić. To, co jest najlepsze dla Zoë. Ale ja nie pozwolę ci od tego uciec. Obie znamy prawdę i będziesz musiała stawić jej czoła, tak jak ja musiałam. Tak jak będzie musiał to robić Steven.

Nie bez powodu jestem podobna do moich rodziców. Ludzie z opieki społecznej zawsze starają się tak to organizować. Jeśli dziecko ma azjatyckie rysy, szukają dla niego azjatyckiej rodziny. Jeżeli jest mieszańcem, jak ja, wtedy szukają mieszanego małżeństwa. Miałam naprawdę dużo szczęścia. Podobno mieszane pary najtrudniej jest znaleźć, ale mnie adoptowano wyjątkowo szybko. A jeśli chodzi o to, że zachowuję się i mówię jak moja mama, to przecież tego można się nauczyć, prawda? Kiedy mieszkasz z kimś pod jednym dachem przez czternaście lat, trudno jest nie podchwycić pewnych jego zachowań.

- Może i tak - powiedziała z namysłem Zoë.

- Wstawaj - zarządziła nagle Karen.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła Zoë, gdy Karen chwyciła ją za ramię. - Dokąd mnie ciągniesz?

- Wracam do domu, a ty idziesz ze mną. Zostaw jakąś wiadomość swojej mamie.

- Ale dlaczego? Dlaczego miałabym pójść z tobą?

- Ponieważ koniecznie musisz coś zobaczyć. Może to pomoże ci zrozumieć.

Uklękły na podłodze w pokoju Karen. Zoë patrzyła, jak Karen wyciąga ogromny album ze zdjęciami z szuflady pod tapczanem.

- No dobrze - odezwała się Karen. - Pora na kilka rodzinnych fotek. Kiedy jesteś porzuconym dzieckiem, nikt nie nazywa tego albumem rodzinnym. Mówią, że to twoja Historia Życia.

Otworzyła album i pokazała Zoë tytuł.

- Dla porzuconego dziecka taki album to najważniejsza rzecz pod słońcem. Steven też będzie taki miał. Na pewno już zaczęli robić mu zdjęcia. Jemu i pielęgniarce, które się nim zajmują. Osobie, która go znalazła. Kiedy trochę podrośnie, rodzice pokażą mu te zdjęcia i powiedzą: popatrz, ten miły pan cię znalazł. W moim przypadku to była kobieta. Zobacz.

Karen wskazała fotografię starszej kobiety.

- Oto ona. Pani Pringle. Pani Pringle, której podczas spaceru z psem w parku pęcherz odmówił posłuszeństwa. Uwiązała go - mam nawet zdjęcie tego psiaka, patrz! Tak więc pani Pringle uwiązuje psa, wchodzi do toalety i znajduje dziecko. Pani Pringle i ja pisujemy do



siebie w każde święta Bożego Narodzenia. Ma teraz osiemdziesiąt sześć lat. Niestety, tamtego dnia pani Pringle nie miała ze sobą aparatu fotograficznego, więc ktoś musiał wrócić tam później, żeby zrobić zdjęcia parkowi i toalecie. Rozumiesz teraz, dlaczego nie pokazuję tego albumu na prawo i lewo? Pytanie „Może chciałabyś zobaczyć fotkę toalety, w której mnie znaleziono?” nie jest chyba najlepszym sposobem, żeby zrobić wrażenie na koleżankach, prawda?

- Nie musisz się tego wstydzić - odparła cicho Zoë. - To nie twoja wina.

- Fakt. Ale wyobraź sobie, co ludzie by powiedzieli. W szkole i nie tylko. Ludzie tacy jak ty i Tracy. Dręczyłyście Shaheen tylko dlatego, że jest Azjatką, a Gemmę, bo jest gruba. Wyobraź sobie, jak ubawiłybyście się kosztem kogoś, kogo znaleziono w kiblu w kartonie po chrupkach!

- To nie to samo.

- Jasne, to coś zupełnie innego. I to właśnie najbardziej nakręca takich jak wy. Ludzie, którzy są inni. Ale jeszcze nie skończyłam. Nie widziałaś zdjęć pielęgniarek. Ta tutaj, to Karen. Właśnie po niej mam swoje imię. Twój synek dostał imię faceta, który go znalazł, prawda? Całe szczęście, że ze mną nie było podobnie. Pani Pringle ma na imię Gertruda. Jakoś nie wyobrażam sobie siebie jako Gertie. Następnie mamy fotografie pracowników opieki społecznej. Założę się, że w albumie Stevena jest już kilka ślicznych fotek panny Hobbs.

Odwróciła stronę.

- A to mój opiekun społeczny, popatrz. Shane Gallagher. Oczywiście, nie mogę go pamiętać, ale mam jego zdjęcie. Pomyśl teraz, jak się czułam w szkole, kiedy kazali, żeby napisać coś o sobie i przynieść zdjęcia z dzieciństwa, ja swoje pierwsze ładne, normalne zdjęcia mam dopiero od wieku trzynastu miesięcy, kiedy zostałam adoptowana.

- Mówiłaś, że znaleziono cię, kiedy miałaś trzy miesiące.

- Tak było. Ale nikt od razu nie oddaje porzuconego dziecka do adopcji. Czekają, czy ktoś się po nie zgłosi. Może ktoś spostrzeże, że przez nieuwagę zostawił dziecko w publicznej toalecie. A może sąsiedzi lub krewni zauważą, że komuś zniknęło trzymiesięczne niemowlę. W moim przypadku tak się nie stało. Potrafisz to sobie wyobrazić? Miałam trzy miesiące i nikt nie zauważył mojego zniknięcia. A jeśli nawet zauważył, to nikomu o tym nie powiedział.

Do tego dochodzi jeszcze całe mnóstwo papierkowej roboty. Trzeba znaleźć odpowiednią rodzinę. W niektórych przypadkach trwa to całymi latami. Ja miałam dużo szczęścia. Ale kiedy trzeba przynieść do szkoły rodzinne zdjęcia, raczej nie chwalę się tymi

tutaj. Rozumiesz?

Przysunęła się bliżej Zoë i dopiero wtedy ponownie się odezwała.

- Tego właśnie chcesz? Tego chcesz dla Stevena, Zoë? Albumu ze zdjęciami, które absolutnie nic mu nie powiedzą? Rodzinnego albumu, w którym nie będzie ani jednego twojego zdjęcia? Ani jednego zdjęcia jego mamy? Chcesz dla niego fotek kartonu po chrupkach i pracowników opieki społecznej? Fotek, których nikomu nie będzie chciał pokazywać? Tak? Bo jeśli tak, to zamknę ten album, pozwolę ci wrócić do domu i obiecuję, że już nigdy nie powiem na ten temat ani słowa. Nikomu. Przemyśl to, Zoë. Teraz sama musisz podjąć decyzję.

## ROZDZIAŁ 11

Zoë przewracała strony albumu ze zdjęciami.

- Nie kłamałaś - odezwała się w końcu cicho.

- Zazwyczaj nie kłamię - odparła Karen. - Z wyjątkiem kwestii mojego pochodzenia. Jeśli nie muszę, nigdy nie mówię, że jestem adoptowana. W ten sposób unikam niewygodnych pytań.

- To okropne - powiedziała jeszcze ciszej Zoë. - Tak mi przykro, Karen...

- Niech ci nie będzie przykro - odpowiedziała jej Karen. - A przynajmniej nie z mojego powodu. Za mnie nie jesteś odpowiedzialna.

- Nie, ale myślę o tym, co mówiłaś: jak musiałaś się czuć przez tych ostatnich kilka miesięcy. A potem, kiedy go zobaczyłaś, najpierw w telewizji, a później w szpitalu! Nigdy bym nie przypuszczała. Niczego się nie domyślałam.

- Jak mogłabyś się domyślić?

- Nigdy cię o to nie pytałam, prawda? Nigdy się tobą nie interesowałam. Zazdrościłam ci tylko twojego ułożonego, nudnego życia. Tego, że masz dwoje rodziców, że oboje z tobą mieszkają. To wszystko wyglądało tak miło i normalnie.

- I tak jest - odparła Karen. - Przez większość czasu. Nie zrozum mnie źle. Kocham moich rodziców. Naprawdę. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym być z kimś innym. Albo chcieć być z kimś innym. Nie jestem nawet pewna, czy chciałabym poznać swoich biologicznych rodziców, gdybym miała taką możliwość. Tak naprawdę chcę tylko jednego: dowiedzieć się. Chcę się dowiedzieć, kim byli i jacy byli. Ale nigdy się tego nie dowiem, podobnie jak Steven.

- Dowie się - powiedziała zdecydowanie Zoë. - Zrobimy to. Zrobimy to natychmiast...

Karen leżała na sofie, obok niej siedziała jej mama, a naprzeciwko, j na krześle - tata. Było już dobrze po północy i wszyscy byli potwornie zmęczeni, ale o śnie nie mogło być mowy.

Tyle się wydarzyło przez tych ostatnich kilka godzin. Rodzice Karen jako pierwsi dowiedzieli się o wszystkim. Siedzieli i słuchali, jak Zoë spokojnie relacjonowała całą historię, podczas gdy po policzkach Karen płynęły łzy.

Potem zawieźli je obie do domu Zoë, gdzie powtórzyła swoją opowieść, tym razem w nieco okrojonej wersji. Wcześniej musiała im kilka razy przysiąc, że dotrzyma obietnicy i nie zdradzi nikomu tajemnicy Karen. Powie jedynie, że Karen przekonała ją, by przyznała się do

dziecka, i nigdy nie wyjawii, jak dokładnie do tego doszło.

- Och, moja biedna córeczka! - Taka była reakcja matki Zoë. Powtarzała te słowa na okrągło, dorzucając co jakiś czas: - Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś, skarbie?

Karen miała nadzieję, że na tym jej rola się skończy, ale nie - Zoë chciała, żeby z nią została. Żeby była przy niej, gdy będzie dzwonił do ojca, a następnie, żeby zaczekała na jego przyjazd. Ojciec Zoë zjawił się ponury i blady. Karen słuchała, jak rodzice koleżanki obwiniają się nawzajem:

- Jak mogłaś nie zauważyć? Mieszka z tobą pod jednym dachem, na litość boską! Nie zasługujesz na to, żeby być matką!

- Może i nie zasługuje, ale przynajmniej jestem przy niej i wspieram ją, czego nie można powiedzieć o tobie! Ładny jej dajesz przykład! Ty i te twoje romanse!

Bezowocne, bezsensowne oskarżenia, którym kres położył dopiero przyjazd policji. Policjantów było dwoje - mężczyzna i kobieta. Z kamiennymi twarzami wysłuchali relacji Zoë, która z równym spokojem opisała im wszystkie szczegóły.

Następnie wezwali przez telefon karetkę, pomimo protestów Zoë, twierdzącej, iż czuje się świetnie, oraz propozycji jej ojca, który chciał zawieźć ją do szpitala.

W tym momencie Karen sądziła, że uda jej się dyskretnie wycofać. W karetce nie było miejsca dla nich wszystkich. I rodzice już chcieli zabrać ją do domu, gdy znowu okazało się to niemożliwe. Zoë nalegała. Zagroziła wręcz, że bez Karen nigdzie nie pojedzie. Kiedy zaś Karen próbowała wyjść, zaczęła krzyczeć i płakać. W końcu obie wylądowały w karetce, a rodzice podążyli za nimi samochodami w policyjnej eskorcie.

- Zupełnie jak w telewizji - zauważyła Zoë.

Raczej jak w pułapce - pomyślała Karen - w pomieszczeniu, którego ściany powoli zbliżają się do siebie. Doszła dalej, niż to sobie planowała, i zaangażowała się bardziej, niżby tego chciała. Bała się, że nigdy nie uda jej się uciec, że Zoë nigdy nie pozwoli jej odejść.

Uratował ją dopiero mały Steven. Po chwili oczekiwania, która zdawała się trwać całą wieczność, kiedy Zoë była rejestrowana jako pacjentka i układana w łóżku, w końcu przyniesiono jej dziecko. Karen chciała wziąć maleństwo na ręce, dotknąć je. Ale pielęgniarka ułożyła chłopczyka w ramionach Zoë.

Byłaby to piękna i pełna harmonii scena, niczym z obrazu, gdyby nie płacz. Płacz Karen. Rozpaczliwe zawodzenie, które niemal całkowicie uszło uwagi Zoë.

- Lepiej będzie, jeśli państwo zabiorą ją do domu - zaskoczona pielęgniarka zwróciła się do rodziców Karen.

W drzwiach Karen zatrzymała się. Zawróciła. Przyklękła przy łóżku Zoë i coś do niej wyszeptała.

- Wszystko w porządku - rzekła wtedy Zoë. - Przestań się martwić. Przecież ci obiecałam, prawda? Zajrzyj do nas jutro, okej?

Karen spojrzała na zegar stojący na kominku. Był już czwartek, a ona nie czuła się na siłach odwiedzić Zoë ani pójść do szkoły.

- Chyba zasnęła. - Karen usłyszała głos matki i poczuła, że ktoś otula ją kocem.

- Nie - odezwała się. - Tylko przymknęłam oczy. Rozmyślałam, to wszystko.

- Szkoda, że nic nam nie powiedziałaś - powiedziała mama. ■ - Powinnaś była powiedzieć nam wcześniej.

- Już to wyjaśniałam.

- Wiem. I nie gniewam się na ciebie. Po prostu żałuję, że nie mogliśmy ci pomóc, to wszystko. Żałuję, że nie możemy pomóc ci w tej chwili.

- Pomagacie mi - odparła Karen, siląc się na uśmiech. - Jak zawsze. Po prostu... No, wiesz. Próbuję o tym nie myśleć... Próbuję, ale cała ta historia sprawiła, że wszystko wróciło. Najgorzej było, kiedy pokazywałam Zoë zdjęcia.

- Jestem z ciebie naprawdę dumny - odezwał się tata. - Byłaś taka dzielna. Zdecydowałaś się przejść przez to wszystko. Mam tylko nadzieję, że Zoë to docenia. I że rozumie, co to dla ciebie znaczyło.

- ”Myślę, że rozumie.

- Mam nadzieję - powtórzył tata, zamyślony. - Mam też nadzieję, że zatrzyma to dla siebie. Wiem, jak bardzo byś cierpiała, gdyby to się rozeszło.

- Nie rozejdzie się - rzekła Karen. - Wiem, że Zoë potrafi być samolubna, ale nikomu nic nie powie. Przecież obiecała.

Była trzecia nad ranem, gdy Karen w końcu znalazła się w łóżku; minęło południe, zanim wstała. Za późno, żeby iść do szkoły. Jej mama zaczynała się tym martwić.

- Wiem, że sporo ostatnio przeszłaś, ale nie możesz dłużej opuszczać zajęć. Przez te ostatnie miesiące trochę opuściłaś się w nauce. Wcale mnie to nie dziwi, zważywszy na to, co się działo! Ale niedługo masz egzaminy.

- Też to wiem - westchnęła Karen. - I nie jest tak źle, mamo. Naprawdę. Wszystko nadrobię. Shaheen i Paula pomogą mi. Wrócę do szkoły w poniedziałek.

- Jutro.

- Jutro jest piątek. Nie oplaca się iść.

- Na pewno się oplaca - nie ustępowała mama. - Aha, tak przy okazji: dzwoniła Zoë.

Spodziewała się, że odwiedzisz ją dziś rano w szpitalu. Jak można być tak samolubnym? Powiedziałam jej, że pół nocy nie spałaś.

- Odwiedzę ją teraz.

- Nie teraz. Podrzucę cię do szpitala po południu, w drodze do pracy. Ale potem koniec z tym. Bierzesz się do nauki. I powiedz też Zoë, że od tej pory będziecie się mogły widywać wyłącznie w weekendy...

Mama kontynuowała swój wykład, a Karen przytakiwała. Nie powiedziała jej, że już dawno postanowiła zerwać znajomość z Zoë. Zrobiła dla niej wszystko, co mogła zrobić.

Wchodząc na oddział, Karen minęła kogoś w drzwiach. Młodego mężczyznę dźwigającego czarną, wyładowaną torbę.

- Kto to był?

- Och, to tylko fotograf - odparła Zoë.

- Fotograf?

- Przyszedł zrobić zdjęcia mnie i Stevenowi. Do miejscowej gazety.

- Czy to dobry pomysł?

- Nie wiem. Właściwie dlaczego nie? I tak wszyscy w okolicy niedługo się dowiedzą. A reszta będzie chciała się dowiedzieć. Fotograf mówi, że mnóstwo ludzi śledzi tę historię w gazetach.

- To prawda, ale myślałam, że będziesz wolała zachować anonimowość. Po prostu: matka zgłasza się po dziecko. Żadnych nazwisk. Nie mówiąc o twoich zdjęciach na pierwszych stronach gazet.

- Mama nie miała nic przeciwko temu. Musiała dać im swoją zgodę, bo nie mam jeszcze szesnastu lat. Stwierdziła, że teraz nie ma już sensu niczego ukrywać. Za późno.

- No cóż, mam tylko nadzieję, że nie będzie z tego żadnych kłopotów - odparła Karen; złość ją brała na myśl, że Zoë ściąga na siebie uwagę wszystkich.

- Jakich znowu kłopotów? - spytała Zoë, autentycznie zaskoczona.

- Ludzie mogą zacząć zadawać pytania - wyjaśniła Karen. - Chodzi mi o to, że dziennikarze potrafią wyciągać z człowieka różne rzeczy. Co będzie, jeśli zaczną się dopytywać, kto jest ojcem? Co wtedy zrobisz?

- Nic im nie powiem. Tylko tyle, że to moja sprawa. Gdybym się wygadała, byłby w niezłych tarapatach, prawda? W końcu jestem nieletnia.

- Odzywał się do ciebie?

- Nie, a powinien?

- Wiesz, to w końcu także jego dziecko.

- Zapomniałaś o czymś Karen. On nawet nie wie, że jest ojcem.

- To ty chyba o czymś zapomniałaś. Rozmawiałam z Tracy, nie pamiętasz? Opowiedziała mi o wszystkim, co się tamtego dnia wydarzyło. O tym, jak wpadłaś do niego i powiedziałaś mu o wszystkim. Myślałam, że może się tym przejął. Że próbował się z tobą skontaktować.

- Ale jesteś dziś zagadkowa - roześmiała się Zoë. - O kim ty w ogóle mówisz?

- O panu Parsonsie.

- O panu Parsonsie! - Zoë niemal zawyła ze śmiechu. - O panu Parsonsie!

- Cicho, pielęgniarka na nas patrzy.

- Przepraszam - wykrztusiła Zoë, ocierając z oczu łzy rozbawienia. - Ty naprawdę potrafisz wszystko przekręcić. Czy ja dobrze rozumiem? Myślisz, że ten palant jest ojcem mojego dziecka?

- A nie jest nim?

- Nie, oczywiście, że nie! Za kogo ty mnie bierzesz? Albo jego? Był z niego niezły czubek, to fakt, ale na pewno nie należał do tych, którzy przystawiają się do uczennic.

- Wcześniej twierdziłaś coś innego. Wyrzucili go ze szkoły za to, że podobno przystawiał się do ciebie i Tracy.

- On sam odszedł, Karen. Wpadł w panikę i podpisał wymówienie, koniec, kropka.

- Ale dlaczego? Skoro nic nie zrobił tobie ani Tracy? Dlaczego w takim razie musiał odejść?

- Dlatego, że popełnił błąd. To wystarczyło - odparła Zoë. - Pamiętasz tę szkolną wycieczkę, o której rozmawiałyśmy? Wiesz, że Tracy i ja zadałyśmy się wtedy ze starszymi chłopakami z innej szkoły?

- Tak. Shaheen i Paula mi powiedziały.

- No, więc ja posunęłam się z moim chłopakiem dalej niż Tracy ze swoim. A może po prostu byłam bardziej nieuważna. Pod wieloma względami. Nie planowałam tego. Nie byłam przygotowana. To wszystko zaszło dalej, niż tego chciałam. To był wypadek.

Kiedy Zoë relacjonowała całą historię w najdrobniejszych szczegółach, Karen popatrywała na małego Stevena. Wypadek. Jego przyjście na świat było skutkiem chwili nieuwagi. Nie było mowy o miłości. Ani nawet o namiętności, jeśli wierzyć Zoë. Po prostu przypadkowe zbliżenie, nic więcej.

Czy z nią było tak samo? Czy także była owocem przypadkowego związku? Pomyłką? Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Czy jej narodziny w ogóle miały dla kogoś znaczenie?

- Tak czy owak - ciągnęła Zoë - pan Parsons nakrył nas w niedwuznacznej sytuacji,

jak to mówią. Jak uważasz, co powinien wtedy zrobić?

Nie czekając, aż Karen odpowie, mówiła dalej:

- Powinien był od razu poinformować o wszystkim nauczyciela o dłuższym stażu. To właśnie powinien był zrobić. Powinien był odesłać mnie do domu. Zawiadomić moich rodziców. Zaprowadzić mnie do lekarza, który by mnie przebadał na wypadek, gdybym coś złapała albo potrzebowała pigułki „po stosunku”.

- Dlaczego więc tego nie zrobił?

- Bo jest mięczakiem i tyle. Zrobiłam wtedy niezłą scenę. Błagałam go, żeby nikomu nie mówił. Powiedziałam, że właściwie nic się nie stało. Że tak naprawdę nie poszliśmy na całość. Że ojciec mnie zabije, jeśli się o tym dowie. I inne bzdury w tym stylu. Więc siedział cicho. Miło z jego strony, ale raczej niezbyt profesjonalnie, prawda?

- Okej - odezwała się Karen. - Nie rozumiem tylko, dlaczego sama czegoś nie zrobiłaś po powrocie do domu? Skoro podejrzewałaś, że możesz być w ciąży?

- Nie bądź głupia, Karen. Nie zachodzi się w ciążę za każdym razem. Niektóre kobiety latami starają się o dziecko. Skąd miałam wiedzieć, że akurat ja będę miała takiego pecha?

- Pecha? - prychnęła Karen. - Po tych wszystkich pogadankach, jakich musiałyśmy wysłuchiwać, ulotkach, które nam dają, filmach, które pokazują! Niczego się z nich nie dowiedziałaś? Nie słyszałaś o antykoncepcji? Nie pomyślałaś, że możesz zajść w ciążę albo zarazić się AIDS?

- Jasne, że o tym myślałam. - Zoë wzruszyła ramionami. - Trochę. Ale AIDS i ciąża to coś, co zdarza się innym ludziom, nie nam. Tak sobie powtarzałam. Ludziom, którzy zmieniają partnerów jak rękawiczki. A ja tak nie robiłam. On był dopiero trzeci!

Karen pokręciła głową z niedowierzaniem. Zoë była tak strasznie bezmyślna. Tak lekko wszystko traktowała. Tak trudno było ją zrozumieć.

- A wracając do naszego starego przyjaciela, pana Parsonsa - Zoë podjęła przerwany wątek. - Tamtego dnia, kiedy byłam pijana i powiedziałam mu o ciąży, zupełnie go zamurowało. Wiedział, że w pewnym sensie jest za to odpowiedzialny, rozumiesz? Zachował się nieodpowiedzialnie, nikogo w porę nie informując. Zrobił się biały jak ściana, więc Tracy doszła do tego samego wniosku, co ty. Zaczęła na niego wrzeszczeć, nazwała go zboczeńcem, czy coś w tym rodzaju. A potem chyba rzuciła się na niego z pięściami. Wtedy ją uderzył.

- Uderzył?

- Uderzył, popchnął, co za różnica. Myślę, że nie chciał jej zrobić krzywdy, po prostu próbował się bronić. Ale jak wiesz, Tracy, upadając, pociągnęła go za sobą na podłogę i właśnie wtedy ktoś wszedł do gabinetu. Możesz sobie wyobrazić, jak to wyglądało.



- Tak - rzekła Karen, próbując jakoś to wszystko ogarnąć. - Ale dlaczego nie powiedziałaś dyrektorowi prawdy? Jeszcze tego samego dnia? Pan Parsons chciał ci pomóc, na litość boską. A ty odpłaciłaś mu się, doprowadzając do jego zwolnienia.

- Cokolwiek byśmy nie powiedziały, i tak musiałby odejść. Sam na początku zataił prawdę, no i jeszcze uderzył Tracy, prawda? To wystarczyło, żeby go wykończyć. Zwłaszcza że i tak wszyscy uważali go za kiepskiego nauczyciela. Właściwie to wyświadczyliśmy mu przysługę. Naprawdę uważam, że był szczęśliwy, mogąc odejść i uniknąć w ten sposób wielu nieprzyjemnych pytań.

- Pomyśl, gdybyś wtedy nie weszła do jego gabinetu! Gdybyś nie powiedziała mu o ciąży!

- Nie zrobiłam tego naumyślnie - odparła Zoë, wzruszając ramionami. - Powtarzam ci to po raz kolejny. Byłam pijana. Nie myślałam.

- Nigdy o nikim nie myślisz, prawda?

## ROZDZIAŁ 12

Och, Karen, daj już spokój - warknęła Zoë. - Nigdy nie twierdziłam, że jestem święta. A ty jesteś gorsza niż pielęgniarki i ta psycholog, z którą każą mi się spotykać. Była tu dzisiaj rano, zanim jeszcze na dobre się obudziłam, i zadawała mi setki głupich pytań. Próbowала dowiedzieć się, kto jest ojcem dziecka. Popatrzyła w dół na Stevena i roześmiała się.

- A poważnie - dodała już innym tonem - postanowiłam się zmienić. Nie pozwolę, żeby ta sprawa jeszcze komuś skomplikowała życie. Powiedziałam tej psycholożce, że to nie jej interes. Moja mama wie tyle, co ty: zna czas i miejsce, ale żadnych nazwisk.

- I w ogóle jej to nie interesuje? Nie zależy jej, żeby się dowiedzieć?

- Niespecjalnie. - Zoë wzruszyła ramionami. - Dlaczego zresztą miałyby jej zależeć? Jakie to ma znaczenie? Do świadectwa urodzenia Stevena wpisze się po prostu „ojciec nieznany”.

- A jeśli jego ojciec przeczyta o was w gazecie? Zobaczy wasze zdjęcie?

- Chyba nie sądzisz, że jeszcze mnie pamięta? Pewnie byłam jedną z wielu! - rzuciła lekko Zoë.

- Załóżmy, że jednak cię pamięta.

- Karen, on prawdopodobnie nigdy nie będzie miał w ręku tej gazety! Przecież nie jest stąd. A gdyby nawet o nas przeczytał, to skąd miałby wiedzieć, że to właśnie on jest ojcem? Powiedziałam mu wtedy, że mam w swoim mieście chłopaka.

Kolejne kłamstwa. Czy Zoë okłamywała każdego, z kim miała do czynienia?

- A jeśli nawet przyjdzie mu do głowy, że może być ojcem dziecka - ciągnęła Zoë - to sam będzie musiał zdecydować, co dalej. Przez pewien czas może mieć stracha i zastanawiać się, czy go nie wydam. Ale jeżeli ma choć trochę oleju w głowie, będzie siedział cicho. Przypominam ci, że wciąż jestem nieletnia. Z prawnego punktu widzenia popełnił przestępstwo.

- I nie uważasz, że on ma prawo wiedzieć?

- Nie, wcale tak nie uważam! - odparła Zoë. - Chyba nie myślisz, że pobralibyśmy się i żyli razem długo i szczęśliwie? Przecież ja prawie go nie znam! Poza tym jestem bardzo zadowolona z bycia samotną matką.

- Matką? - podchwyciła Karen. - Czy to znaczy, że nie oddasz go do adopcji? Że go zatrzymasz?

- Tak, chyba go wezmę - powiedziała Zoë takim tonem, jakby zastanawiała się nad

wyborem nowej sukienki z katalogu. - Rozmawialiśmy o tym z mamą. Z tatą zresztą też. Oboje uważają, że powinnam go zatrzymać. Mama zupełnie zwariowała na jego punkcie. Mówi, że znowu ma cel w życiu. Szczerze mówiąc, Karen, nie potrafiłabym go teraz oddać. Popatrz tylko na niego! Jest absolutnie prześliczny. Kto mógłby oddać swoje...

- Dziecko? - dokończyła za nią Karen. - Niektórzy nie mają żadnych oporów.

- Przepraszam cię.

- Nie ma sprawy. Ale moim zdaniem powinnaś jeszcze się namyślić. Daj sobie trochę czasu. Zastanów się, czy dasz radę się nim zajmować. Wychowywanie dziecka to nie zabawa, Zoë. Musisz być pewna, że on nie jest dla ciebie tylko chwilową atrakcją, którą znudzisz się za miesiąc lub dwa, kiedy zachoruje albo będzie płakał po nocach. Bo na pewno tak będzie...

- Przestań już, Karen! Zupełnie, jakbym słuchała reklamówki Towarzystwa Opieki Nad Zwierzętami! Piesek nie jest tylko na Gwiazdkę i tak dalej - przerwała jej Zoë, śmiejąc się. - I skończ mnie wreszcie pouczać! Dobrze to przemyślałam, naprawdę. Jestem pewna, że Steven i ja damy sobie radę.

- W jaki sposób? Skąd weźmiesz pieniądze? Twoja mama już teraz z trudem utrzymuje was obie, a sama mówiłaś, że tata nie będzie wam płacił alimentów... To kolejny powód, żeby skontaktować się z ojcem Stevena. Chyba powinien płacić na utrzymanie dziecka, nie uważasz? Bez tego nie będzie ci łatwo.

- Karen, wiem, że uwielbiasz się zamartwiać, ale w tej sprawie możesz już przestać. Powiedziałam ci, że Steven i ja damy sobie radę. A jeśli chodzi o pieniądze, mam pewien plan. Przekonasz się.

Karen nie zdołała się dowiedzieć, na czym ten plan miałby polegać, ponieważ dokładnie w tym momencie do sali weszła pielęgniarka, żeby zważyć Stevena i dać Zoë żelazo, bo - jak się okazało - miała lekką anemię. Chwilę po niej zjawiała się matka Zoë i Karen skorzystała z okazji, żeby się pożegnać. Powiedziała, że niedługo zadzwoni, ale szczerze w to wątpiła. W każdym razie, prędko tego nie zrobi.

Obiecała rodzicom, że postara się nadrobić zaległości w szkole i podciągnie się w nauce. Oczywiście nie było to takie proste. W czwartek wieczorem historia Zoë znalazła się na pierwszej stronie lokalnej gazety i w piątek była głównym tematem rozmów w szkole. Karen udawała równie zaskoczoną, jak wszyscy. Tak było prościej. Autor artykułu nie wymienił jej imienia. Dlaczego zresztą miałby to robić? W gazecie można było jedynie przeczytać, że po kilku dniach bicia się z myślami Zoë postanowiła odebrać dziecko.

- Nie do wiary - odezwała się Paula. - Zoë w ciąży. Była w ciąży przez cały ten czas i nikt z nas niczego nie zauważył. No, ale skoro jej własna matka się nie zorientowała...

- Moim zdaniem musiała się zorientować - odparła Shaheen. - Nie zdziwiłabym się, gdyby sama namawiała Zoë do porzucenia dziecka. Dobrze się czujesz, Karen? Cała drżysz.

- Ja też się trzęsłam, kiedy pierwszy raz o tym czytałam - powiedziała Paula. - Miałam ochotę pójść do niej i dać jej w twarz. Żeby zostawić go w kartonowym pudełku! Przecież mogło mu się coś stać. Pies mógł się na niego rzucić. Jakiś wariat mógł go zabrać. Co z niej za człowiek? Jak w ogóle można zrobić coś takiego?

- Przestańcie - przerwała jej Karen. - Proszę was, przestańcie. Nie macie o niczym pojęcia. Nie wiecie, co byście zrobiły na jej miejscu, gdybyście były zdesperowane.

- Nigdy nie byłabym aż tak zdesperowana, żeby porzucić bezbronne dziecko. Na szczęście się po nie zgłosiła, chociaż tyle. To już coś. Niektórzy nie zadają sobie trudu, żeby to zrobić.

- Zamknij się! - wrzasnęła Karen.

- Co się stało? Ja tylko powiedziałam...

Nagle znalazły się w centrum zainteresowania wszystkich uczniów na boisku. Wszystkich, którzy rozmawiali ze sobą na ten sam temat i wymieniali opinie.

- Nic już nie mów! - krzyknęła znowu Karen. - Zamknij się! Wszyscy się zamknijcie! Nie macie pojęcia, jak to jest.

Później tego samego dnia, kiedy już trochę ochłonęła, Karen przeprosiła swoje przyjaciółki. Było im przykro i czuły się zbite z tropu, ale przyjęły przeprosiny.

- Nie wiem, dlaczego tak wybuchłam - powiedziała Karen. - Ostatnio kiepsko sypiam. Przez kłopoty w domu. Mama i tata są trochę nie w sosie.

Nie wiedziała, dlaczego powiedziała coś takiego. To było kłamstwo. Ale przecież musiała coś powiedzieć, wymyślić jakąś wymówkę.

- Aha - odparła Paula. - Wiem, co masz na myśli. U mnie jest tak samo.

- Twoi rodzice się nie dogadują? - spytała ją Shaheen współczującym tonem.

- Nie, nie. Między nimi wszystko w porządku. Chodzi o naszych sąsiadów. Wrzeszczą na siebie przez pół nocy. Nikt z naszej ulicy nie może się porządnie wyspać.

Karen uśmiechnęła się. Napiecie, jakie było pomiędzy nimi, ustąpiło, przynajmniej na jakiś czas. Jeśli uda jej się jakoś dociągnąć do końca przyszłego tygodnia, cała ta sprawa pójdzie w niepamięć. Kogoś wyrzucą ze szkoły, ktoś się z kimś pobije i można będzie rozmawiać o czymś innym.

Powtarzała to sobie przez cały weekend. Były to spokojne dwa dni, spędzone w domu, podczas których starała się jakoś pozbierać. Tylko jedno wydarzenie zakłóciło jej powrót do normalności, kiedy w sobotę rano zadzwonił telefon. Karen usłyszała, jak jej mama odbiera,

po czym mówi krótko, podenerwowanym tonem:

- Nie. Nie mamy z tym nic wspólnego. Przykro mi. Nie chcę o tym rozmawiać, a już na pewno nie pozwolę wam porozmawiać z moją córką...

- Kto to był? - spytała zaraz Karen.

- Nie do wiary - mruknęła gniewnie jej matka. - Ta Zoë przekracza już wszelkie granice. Rozmawiała z dziennikarzami jednego z niedzielnych brukowców. Możesz sobie wyobrazić te sensacyjne nagłówki? Myślałby kto, że jest jakąś bohaterką!

- Dobrze, ale dlaczego zadzwonili do nas?

- Chcieli, żebyśmy potwierdzili jej wersję. Powiedziałam, żeby się odczepili. Zresztą sama słyszałaś.

- To znaczy, że powiedziała im o mnie! Och, mamó, chyba nie myślisz, że powiedziała im o wszystkim? Powiedz!

- Oczywiście, że nie. Uspokój się - odparła mama. - Jestem pewna, że nie zdradziła im żadnych szczegółów dotyczących twojego pochodzenia. Wiedzą, że byłaś z nią w szpitalu, kiedy zgłosiła się po dziecko. To wszystko.

- No, nie wiem - westchnęła Karen. - Nie jestem taka pewna. Brzmi to jakoś podejrzanie. Zadzwonię do niej.

Zadzwoniła więc do szpitala i wysłuchała uspokajających zapewnień Zoë. Rzeczywiście, rozmawiała z dziennikarzem ogólnokrajowej gazety i mogła mu wspomnieć o Karen. Ale na pewno nie podała mu żadnych szczegółów. Zoë była tego całkowicie pewna.

Karen mimowolnie zaczęła się zastanawiać, co właściwie Zoë powiedziała dziennikarzowi i ile z tego było zgodne z prawdą. Jej rodzina nie kupowała tej gazety, więc prawdopodobnie nigdy się nie dowie. Zresztą wcale nie miała ochoty się dowiedzieć. Przy odrobinie szczęścia Zoë nie wróci już do szkoły. Ich krótka znajomość dobiegnie końca. Karen spróbuje o wszystkim zapomnieć i ponownie zacznie zabiegać o przyjaźń Pauli i Shaheen.

Z takim zamiarem zjawiała się w poniedziałek wczesnym rankiem w szkole. Zawsze przychodziła wcześniej, ale tym razem postarała się być jak najwcześniej. Chciała jeszcze przed lekcjami spotkać się z Paulą. Porozmawiać z nią. Upewnić się, że wszystko jest między nimi w porządku po jej piątkowym bezsensownym wybuchu.

Ale Pauli nigdzie nie było. Shaheen także. Byli za to inni. Ci z jej rocznika i z innych klas. Nie znała ich dobrze, ale zazwyczaj przynajmniej mówili jej „cześć”. Jednak dzisiaj wszyscy zdawali się jej unikać. Kiedy ich mijała, odwracali głowy, udając, że jej nie widzą.

Nie robili tego w obraźliwy sposób. Raczej nie. Zachowywali się tak, jakby coś się

stało. Jakby zachorowała na coś zaraźliwego albo umarł jej ktoś bliski, a oni nie wiedzieli, co powiedzieć; zupełnie jakby byli czymś skrępowani.

Obok niej przeszło akurat kilka dziewcząt. Szeptały między sobą. Wyglądało na to, że do niej podejść, ale w ostatniej chwili zmieniły zdanie i ominęły ją szerokim łukiem.

Dziwne. Karen wiedziała, że niczego sobie nie wmawia, że to nie są chore rojenia jej wyobraźni. Zerknęła w dół, chcąc się upewnić, czy nie założyła butów nie do pary albo nie zapomniała zdjąć rano piżamy. Ale wszystko wydawało się być w porządku. Wyglądała dokładnie tak jak zwykle.

Wciąż przyglądała się swojemu ubraniu, sprawdzając i upewniając się, gdy zjawiły się Shaheen i Paula. W przeciwieństwie do innych natychmiast ruszyły w jej stronę. Paula trzymała w garści zwiniętą gazetę. Jeden z popularnych niedzielnych brukowców. Ten sam, którego dziennikarze dzwoniли w sobotę do niej do domu. Ten sam, z którego dziennikarzem rozmawiała Zoë.

- Widziałaś? - odezwała się do niej Paula.

Żołądek Karen ścisnął się spazmatycznie. Ten ton. Wyraz twarzy Pauli. Skrępowanie wszystkich, których spotkała na boisku. Co takiego Zoë mogła im powiedzieć?

- Daj mi to - powiedziała ostrzej, niż zamierzała.

Paula rozwinęła gazetę. Otworzyła ją na właściwej stronie. Złożyła na pół i podała Karen, która odetchnęła z ulgą, widząc zdjęcie modelki. Bardzo atrakcyjnej. Bardzo uwodzicielskiej. Szczupłej blondynki. Twarz dekady. Tracy? To właśnie chciały jej pokazać. Nie miało to nic wspólnego z nią ani z Zoë. Po prostu chodziło im o Tracy. Ale nie. Zanim zdążyła dobrze przyjrzeć się fotografii i zdecydować, czy modelka to rzeczywiście Tracy, Paula pokazała jej odwrotną stronę. To tę stronę miała zobaczyć. Z olbrzymim, krzyżującym nagłówkiem, którego nie sposób było przeoczyć.

**BOLESNY SEKRET PRZYJACIÓLKI MATKI MAŁEGO STEVENA.**

- Tak mi przykro - powiedziała Paula. - Po tym wszystkim, co wygadywałam w piątek. Wyobrażam sobie, co wtedy myślałaś.

Ale przecież nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia. Dlaczego nic nam nie powiedziałaś, Karen? Mogłybyśmy...

- Zamknij się - przerwała jej Shaheen. - Już ci mówiłam. Karen nic nam nie powiedziała, bo to wszystko nieprawda. Wiesz, jaką kłamczucha jest Zoë. Wymyśliła to wszystko. Jestem tego pewna. Karen nie byłaby na tyle głupia, żeby powiedzieć Zoë coś tak osobistego, i to bez względu na okoliczności. Mój tata mówi, że powinna pozwać ją do sądu...

Słowa Pauli, słowa Shaheen, ich twarze, gazeta - wszystko to zlało się nagle w ciemną

plamę. Czarna chmura zawisła przed jej oczami i otuliła ją całą, duszna, dławiąca, nie dająca swobodnie oddychać. Przyjaciółki podtrzymały ją, nie pozwalając upaść. Zaprowadziły do ławki i zmusiły, żeby usiadła.

- Uspokój się, Karen - powtarzała Paula. - Oddychaj głęboko.

- Zawołam panią Wilson - powiedziała Shaheen.

- Nie - zdołała wyszeptać Karen. - Jeszcze nie teraz. Zaraz poczuję się lepiej. Naprawdę.

Przytrzymując się kurczowo krawędzi ławki, wciągała głęboko powietrze, tak jak kazała Paula. Czekala, aż rozjaśni jej się przed oczami. Zanim to nastąpiło, wokół nich zebrał się tłumek uczniów. Ich krąg coraz bardziej się zacieśniał. Skrępowanie ustąpiło miejsca zaciekawieniu; wszyscy nadstawiali uszu, mając nadzieję poznać nowe szczegóły, pominięte przez gazetę.

- Spadajcie! - krzyknęła do nich Shaheen. - Zostawcie ją w spokoju. To nie kino.

- A właśnie, że to jest kino - odezwała się Karen. - Ile im powiedziała? Co napisali?

Przeczytajcie mi wszystko.

- Nie mogę - powiedziała Paula, podając gazetę Shaheen.

- Jesteś pewna, Karen? - spytała Shaheen.

- O, tak - odparła Karen. - Jestem pewna. Czytaj. Każde słowo.

## ROZDZIAŁ 13

Karen mocniej zacisnęła dłonie na krawędzi ławki, a Shaheen zaczęła czytać artykuł ledwie słyszalnym głosem.

- Nastoletnia matka, która porzuciła swojego jednodniowego synka, tydzień później zgłosiła się po niego po dramatycznej rozmowie ze swoją przyjaciółką, Karen, która nakłoniła ją do zmiany decyzji, zdradzając sekret swego pochodzenia. Okazało się, że sama również została porzucona jako dziecko. „Nie miałam o tym pojęcia - powiedziała nam Zoë. - To niewiarygodny zbieg okoliczności. Karen domyśliła się, że jestem matką Stevena, i tak długo wierciła mi dziurę w brzuchu, aż wreszcie załamalam się i wyznałam jej prawdę. Jednak nadal nie miałam odwagi zgłosić się po niego. Postanowiłam to zrobić dopiero, gdy Karen powiedziała mi, że jako trzymiesięczne dziecko została porzucona w publicznej toalecie, w parku w Manchesterze. Znalazła ją jakaś starsza pani. Nawet imię ma po pielęgniarce, która zajmowała się nią w szpitalu. Byłam wstrząśnięta. Wyobraźcie sobie, jak się wtedy czułam.”

- Jasne - prychnęła Karen. - Jak ona się czuła. Cała Zoë. A jak ja się czułam? Jak się teraz czuję? Powtórzyła im każde moje słowo...

Załamal jej się głos. Poczula na ramieniu delikatny dotyk dłoni Pauli, podczas gdy Shaheen czytala dalej.

- „Karen błagała mnie, żebym nie kazała mojemu dziecku przechodzić przez to, przez co sama musiała przejść. Żebym nie skazywała go na życie w ciągłej niewiedzy. Po czymś takim - dodała Zoë - nie miałam wyboru. Powiedziałam o wszystkim mojej mamie, która wspaniale się zachowała i nim zdążyłam się zorientować, co właściwie się ze mną dzieje, byłam w szpitalu i trzymałam mojego synka w ramionach. To było cudowne. Wiedziałam, że nareszcie postąpiłam właściwie. Nie obchodzi mnie, co będzie dalej. Liczy się tylko to, że odzyskałam moje dziecko.”

- Trzymajcie mnie, bo się porzygam - jęknęła Paula. - Jak w ogóle można drukować taki bełkot? A ten łzawy kawałek o odzyskaniu dziecka? Myślałby kto, że zależy jej na nim albo na Karen. Albo w ogóle na kimkolwiek! Jak ci dziennikarze mogli być tacy głupi? Jak mogli dać się tak nabrać?

- To ja byłam głupia - odezwała się Karen. - Znałam ją lepiej niż inni, a mimo to jej zaufałam.

- Zaraz zamarzniesz - powiedziała Paula, dotykając jej sonej dłoni. - Odprowadzimy cię do domu.



- Nie. Jeszcze nie. Doczytaj do końca, Shaheen.

- „Zoë trafiła na pierwsze strony gazet w piątek - wróciła do czytania Shaheen. - Po tym, jak zgłosiła się do szpitala i przyznała, że porzuciła swojego synka Stevena w kartonowym pudle przed wejściem do jednej z przychodni w Leeds. Jednak zanim zdecydowała się z nami porozmawiać, nikt nie domyślał się, co skłoniło ją do tego kroku...

Karen, tajemnicza bohaterka historii, która wstrząsnęła całym krajem, była wczoraj wieczorem nieosiągalna dla dziennikarzy. Matka dziewczynki nie zgodziła się na jej rozmowę z nami, ale inne źródła potwierdziły autentyczność słów Zoë...”

- Co za bezczelność! - krzyknęła Karen. - Jaki tupet, do cholery! Kiedy do nas dzwonili, nie pisnęli ani słowa na ten temat. Mama myślała, że chcą z nami porozmawiać o Zoë. A Zoë znowu mnie oszukała. Jak mogła zrobić mi coś takiego? Przecież obiecała. Obiecała.

Shaheen podała Pauli gazetę.

- A więc to wszystko prawda? - spytała Paula z niedowierzaniem. - To, co powiedziała Zoë? Że zostałaś...

- Tak, to prawda. Nie jestem z tego szczególnie dumna, ale to prawda. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Ani słowa, jeśli nie musiałam. Tylko w urzędzie albo jeśli było to absolutnie konieczne. A teraz dzięki Zoë wszyscy się dowiedzieli.

- Ale dlaczego powiedziałaś o tym Zoë, na litość boską? - chciała wiedzieć Shaheen. - Dlaczego zaufałaś jej w tak poważnej sprawie? Akurat jej?

- Ze względu na Stevena - odparła Karen. - Musiałam sprawić, żeby wreszcie coś do niej dotarło. Myślałam, że mi się udało. Myślałam, że zrozumiała. Ale ona nie mogła się powstrzymać. Musiała wypaplać wszystko dziennikarzom. Teraz cały świat zna prawdę.

- Przecież to jest bez... - zaczęła Paula.

- Nie mów mi, że to jest bez znaczenia - krzyknęła Karen. - Nie mów mi, że nic się nie zmieniło! Popatrz tylko na nich. Popatrz, jak szepczą i pokazują mnie sobie palcami. Patrzcie na Karen. Wiecie, że ktoś znalazł ją w kiblu? Jak byś się czuła na moim miejscu, Paula?

- Nie wiem - szepnęła Paula. - Bardzo mi przykro...

- Przestań - przerwała jej Karen. - To nie tobie powinno być przykro, tylko jej. Słuchajcie, muszę iść. Muszę się z nią zobaczyć. Powiedzcie pani Wilson, że... Powiedzcie jej, co chcecie. Pokażcie jej tę cholerną gazetę!

- Nie możesz iść sama - zaprotestowała Shaheen. - Wyglądasz okropnie i jesteś strasznie zdenerwowana. Pozwól mi pójść z tobą.

- Nie.

- A mogę przynajmniej zadzwonić do twojej mamy? Powiedzieć jej, co się stało i dokąd poszłaś?

- Róbcie, co chcecie - rzuciła Karen na odchodnym. - Teraz to i tak nie ma już żadnego znaczenia.

Kiedy dotarła na miejsce, Zoë siedziała na krawędzi łóżka otoczona stertami kopert, papieru do pakowania, dziecięcych ubrań, grzechotek i przytulanek. Zupełnie, jakby właśnie wygrała jakiś konkurs.

- Od życzliwych ludzi - powiedziała, podnosząc w górę pluszowego niebieskiego królika. - Mnóstwo ich pisze i przysyła prezenty, mimo że w ogóle mnie nie znają.

- Wspaniale - odparła Karen. - Cudownie. Pewnie dowiedzieli się o wszystkim z gazet, prawda?

- Rozumiem, że już czytałaś? - powiedziała Zoë, sięgając po leżącą na nocnym stoliku gazetę z wiadomym artykułem.

- A żebyś wiedziała, że tak. Przeczytałam wszystko niecałą godzinę temu. Na szkolnym boisku.

- Ojej.

- Ojej? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Masz pojęcie, jak się wtedy czułam?

- Domyślam się, że mogłaś się trochę zdenerwować. Nie byłaś tam na pewno sama i tak dalek. Sądziłam, że będziesz miała na tyle rozumu, żeby kupić gazetę w niedzielę.

- Myślisz, że dzięki temu poczułabym się lepiej? Wydaje ci się, że to, gdzie i kiedy bym się o tym dowiedziała, ma jakiegokolwiek znaczenie? Dzisiaj, wczoraj, jutro - co za różnica? A zresztą, dlaczego w ogóle miało mi przyjść do głowy, żeby kupić ten brukowiec? Przecież rozmawialiśmy w sobotę i powiedziałaś mi, że o niczym im nie powiedziałaś. Przysięgłaś!

- O rany, straciłam głowę. Zapomniałam, co właściwie powiedziałam.

- Zapomniałaś? Zapomniałaś, że złamałaś dane mi słowo? Zapomniałaś, że powiedziałaś im wszystko, chociaż błagałam, żebyś tego nie robiła?

- Sama powiedziałaś, że dziennikarze potrafią wyciągać z człowieka różne rzeczy. To, że postanowiłam zgłosić się po Stevena, przestało być sensacją. Szukali czegoś nowego. Musiałam dać im coś, za co byliby gotowi zapłacić.

- Zapłacić? Dostałaś od nich pieniądze? Sprzedałaś mnie? Ty naprawdę mnie sprzedałaś! Znowu mnie okłamałaś, zgadza się? - zawołała Karen; nagle wszystko zaczęło łączyć się w jej głowie w sensowną całość. - To nie oni cię znaleźli, prawda? To ty ich odszukałaś. Nikt nie musiał nic z ciebie wyciągać. Zrobiłaś to celowo. Ty ohydna, kłamliwa,

wredna su...

- Uspokój się, na litość boską. Nie rozumiem, o co ta cała awantura. Przecież to nikogo tak naprawdę nie obchodzi, Karen. Za parę dni cała sprawa rozejdzie się po kościach. Wszyscy o tym zapomną.

- Ja nie zapomnę.

- To dlatego, że zbyt emocjonalnie do tego podchodzisz. Choć raz racjonalnie się nad tym zastanów. Można powiedzieć, że właściwie wyświadczyłam ci przysługę.

- Przysługę? - syknęła Karen.

- Po pierwsze, teraz będziesz mogła swobodnie o tym rozmawiać, zamiast rozmyślać w samotności i wszystko w sobie dusić. To niezdrowe. Nic dziwnego, że ciągle jesteś taka spięta. Musisz raz na zawsze wyrzucić to z siebie. Zacząć normalnie o tym rozmawiać.

- Od kiedy to znasz się na takich rzeczach?

- To przez tę psycholożkę, która tu przychodzi. Wciąż powtarza, że dobrze jest rozmawiać o swoich problemach.

- Ale chyba nie chodziło jej o rozmowy z dziennikarzami?

- Kto wie? - odparła lekko Zoë. - Może ten artykuł obudzi czyjeś wspomnienia, wywoła wyrzuty sumienia, albo coś w tym stylu...

- Wyrzuty sumienia? Skąd ty możesz cokolwiek na ten temat wiedzieć?

- Przyznaję, że nigdy specjalnie się nimi nie przejmowałam. Ale nie rozumiesz, Karen? To może ci pomóc. Powiedziałaś kiedyś, że chciałabyś dowiedzieć się czegoś o swoim pochodzeniu. No, to może teraz ktoś się do ciebie przyzna.

- I uważasz, że mam się z tego powodu cieszyć? W takim razie wiedz, że wcale się nie cieszę.

- Dlaczego?

- Zaraz ci powiem, dlaczego. Latami chciałam się tego dowiedzieć. Godzinami wpatrywałam się w lustro, próbując zobaczyć w swoim odbiciu twarz mojej matki, wyobrażając sobie, jak wyglądała. Analizowałam wszystkie swoje zalety i wszystkie wady. Zastanawiałam się, które z nich odziedziczyłam, a które są po prostu wyuczone. Starłam się pozbiierać wszystkie elementy tej układanki. I ostatecznie mi się to udało. Zobaczyłam kogoś, kogo chciałam zobaczyć. Kogoś, kto mnie kochał. Kobietę, która być może była biedna, chora, niezrównoważona albo zdesperowana, ale której na mnie zależało. Która w jedyny dostępny sobie sposób chciała ofiarować mi lepsze życie.

- Pewnie masz rację i naprawdę tak było.

- Do tej pory zawsze udawało mi się w to wierzyć, Zoë. Mama i tata też zachęcali

mnie, żebym w to wierzyła. Że moja biologiczna matka mnie kochała, że w pewnym sensie postąpiła właściwie. Ale teraz nie mogę już dłużej wierzyć w tę bajeczkę, rozumiesz? W ten mój wymysł, moje marzenie. Bo teraz znam już prawdę.

- Chyba nie do końca rozumiem - powiedziała Zoë.

- Oczywiście, że nie rozumiesz. Chcę powiedzieć, że teraz nie chcę już poznać tej kobiety ani się z nią spotkać. A wiesz dlaczego? Boję się, że może być podobna do ciebie. I że mogłabym ją znienawidzić. Słyszysz, Zoë? Znenawidziłabym ją...

- Czy ja cię słyszę? Słyszysz cię połowa cholernego oddziału. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak się tym podniecasz.

- Wiesz, że wcale mnie to nie dziwi? Tobie nie jest nawet przykro, prawda? Ani trochę. Nie jest ci przykro ani z mojego powodu, ani z powodu pana Parsonsa, ani z powodu Stevena...

- Tak przy okazji - przerwała jej Zoë znużonym tonem. - On będzie miał na imię Liam. Postanowiłam nazwać go Liam Steven i jeśli nie przestaniesz tak wrzeszczeć, obudzisz go.

- Nie obudzę go - odpowiedziała Karen. - Właśnie miałam wyjść...

Siedząc na podłodze w swoim pokoju, Karen zastanawiała się, jakim cudem udało jej się dotrzeć do domu. Prawie nie pamiętała, jak wyszła ze szpitala i wsiadła do autobusu. Głowa pękała jej z bólu, a żołądek skręcał się tak boleśnie, że musiała wysiąść kilka przystanków wcześniej. Podejrzewała, że resztę drogi do domu przebyła na piechotę.

Pamiętała, że zadzwoniła do drzwi, a potem, kiedy nikt nie otwierał, poszukała klucza w torbie. Przekreśliła go w zamku, pchnęła frontowe drzwi i pobiegła prosto do kuchni, gdzie naląła sobie szklankę wody i tak długo przetrząsała zawartość apteczki, aż znalazła buteleczkę paracetamolu. Wzięła ją ze sobą na górę, połknęła dwie tabletki i czekała, żeby znajdujący się w jej głowie karabin maszynowy w końcu zamilkł. Kiedy tak się nie stało, połknęła kolejne dwie tabletki. Ile czasu minęło od tamtej pory? Pół godziny?

Za mało, żeby wziąć następne, ale karabin maszynowy w jej głowie wciąż wypluwał z siebie kolejne serie. Fakt, że przeglądała swoją Historię Życia, wcale jej nie pomógł. Ale nie mogła się zmusić, żeby nie przewracać tych stron. Liam Steven nie będzie miał takiego albumu. Przynajmniej coś dobrego wynikło z tego całego koszmaru. Czy jednak na pewno? Być może zaoszczędziła mu posiadania Historii Życia, tortury wiecznej niepewności, ale na co skazała go w zamian? I jakim kosztem?

Wpatrywała się w fotografię zniszczonego budynku publicznej toalety, ze ścianami z czerwonej cegły pokrytymi graffiti. W uszach dźwięczały jej szept, które słyszała na

szkolnym boisku. Jej ręka sama wyciągnęła się po butelkę tabletek. Wiedziała, że nie zdoła ponownie stawić czoła takiemu upokorzeniu. To byłoby takie łatwe. Ile tabletek trzeba zażyć, żeby mieć całkowitą pewność? Żeby zatonać w niepamięci. Żeby już nigdy się nie obudzić. Przycisnęła nakrętkę butelki, a potem ją odkręciła. Zabezpieczenie przed dziećmi. Ale ona nie była już dzieckiem. Nie połknie tych tabletek przez pomyłkę, tylko dlatego, że wyglądają jak cukierki. Doskonale widziała, co robi.

Z innej fotografii spojrzała na nią twarz pani Pringle.

- Nie patrz na mnie w taki sposób! - krzyknęła Karen, zatrzasnąwszy album. - To moje życie. Ciebie nic to nie powinno obchodzić.

A jednak jej życie musiało panią Pringle obchodzić. Rodzice powiedzieli jej kiedyś, że gdyby starsza pani w porę jej nie znalazła gdyby Karen poleżała tam godzinę dłużej, mogłoby być za późno.

Wszystko, co się od tamtej pory wydarzyło, wszystko, co dotyczyło Karen, było rezultatem tego, że pani Pringle cierpiała na słaby pęcherz.

Karen poczuła, że wbrew swojej woli słabo się uśmiecha; w dłoniach wciąż obracała otwartą buteleczkę paracetamolu.

Nagle usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Drzwi do jej pokoju otworzyły się.

- Karen! - wykrzyknęła jej mama. - Och, Bogu dzięki! Pojechałam do szpitala zaraz po telefonie Shaheen. Musiałyśmy się minąć. Zoë nie wiedziała, dokąd poszłaś. Zmusiłam ją, żeby dała mi tę gazetę. Nie wierzyłam własnym oczom. Bałam się, że nie wrócisz do domu... Karen, co to za tabletki?

- Właśnie zakręcałam fiolkę - odpowiedziała Karen. - I bardzo cię proszę, nie krzycz. Boli mnie głowa. Dlatego wzięłam paracetamol.

Mama odłożyła na bok gazetę, chwyciła buteleczkę i podniosła ją w górę. Widząc prawie nienaruszoną zawartość, znacznie się uspokoiła.

- Jesteś pewna, córeczko? Chyba nie zamierzałaś...

- Nie - westchnęła Karen i czując otaczające ją ramiona mamy, zaczęła płakać. - Nie zamierzałam.

- Może wyjedźmy stąd - powiedziała mama. - Zrobimy sobie wakacje. Chyba lepiej, żebyś na pewien czas zniknęła.

- Nie, mamó - przerwała jej Karen. - Po powrocie i tak musiałabym spojrzeć wszystkim w oczy. Wolę to zrobić od razu. Jutro pójdę do szkoły. Dam sobie jakoś radę.

- To wiem, kochanie. Zawsze dajesz sobie radę.

- Wcześniej udawało mi się jakoś to ukrywać. Ale teraz nie mogę już tego robić.

Wszyscy wiedzą, że jestem tym biednym, małym podrzutkiem, którego nikt nie chciał.

- Nieprawda! Jesteś naszą Karen. Chcemy cię wychowywać. Kochamy cię. Twoje przyjaciółki też cię kochają. Zależy im na tobie! Twoje pochodzenie, twoje korzenie nie mają dla nich znaczenia. To, czego się dziś dowiedziały, niczego nie zmienia.

- Paula próbowała mi to dziś powiedzieć.

- I miała rację. Będziesz cierpieła tylko wtedy, jeśli dopuścisz do siebie ból. Może koniec końców to, co się stało, wyjdzie ci na dobre.

- Mówisz zupełnie jak Zoë! Ona też tak uważa. Twierdzi, że zrobiła to wszystko, żeby mi pomóc! A najśmieszniejsze jest to, że chyba naprawdę w to wierzy. Zdałam sobie dzisiaj sprawę, że jej kłamstwa właściwie nie są kłamstwami. A przynajmniej nie dla niej. Zoë żyje w świecie swoich fantazji. W tym świecie nigdy nie postępuje samolubnie i nigdy nie musi ponosić konsekwencji swych czynów.

- Teraz, kiedy ma dziecko, będzie chyba musiała się tego nauczyć.

- Wątpię. Teraz niby wszystko jest w porządku. Zoë korzysta z zainteresowania, jakie wywołała. Ale co będzie, kiedy cała sprawa przycichnie? Kiedy Zoë się znudzi? Gdy zrozumie, z czym wiąże się posiadanie dziecka? Jakie życie będzie miał wtedy Liam Steven?

- Któż to może wiedzieć, kochanie? Teraz już wszystko zależy od Zoë. I od jej rodziców. Nigdy nie wiadomo - może to, że w końcu będzie musiała myśleć o kimś jeszcze poza sobą, wyjdzie jej na dobre?

- Jej? Och, jestem pewna, że Zoë nie pozwoli się skrzywdzić. Już ona potrafi o siebie zadbać. Ale co będzie z pozostałymi? Ze mną, z Liamem Stevenem? Czy było warto, mamó? Uważasz., że dobrze postąpiłam? Powiedz.

- Tak, dobrze postąpiłaś - odparła jej mama zdecydowanie. - Cokolwiek się teraz wydarzy, ty zachowałaś się właściwie. Nie mogłaś stać z boku i nic nie robić, prawda? Do końca życia dręczyłyby cię wyrzuty sumienia.

Karen skinęła głową i pozwoliła, żeby mama przytuliła ją i pocieszała tak, jak to zawsze robiła. W końcu zadzwonił telefon i mama niechętnie wypuściła ją ze swoich objęć, żeby go odebrać.

Kiedy wyszła z pokoju, oczy Karen same pobiegły w kierunku Historii Życia i nieszczęsnego artykułu. Otworzyła album, po czym podniosła gazetę i jeszcze raz wszystko przeczytała. A potem jeszcze raz.

- Dzwonił tata - oznajmiła mama, wracając do pokoju. - Widział już gazetę! Jest na nich wściekły. Powiedział, że powinniśmy pozwać ten brukowiec do sądu albo skontaktować się z Komisją Etyki Prasy, albo...

- Nie - powiedziała Karen. - Nie róbmy tego. Wywołalibyśmy tylko jeszcze większe zamieszanie. Znowu zaczęliby wszystko wywlekać. Nie chcę tego. Chcę zacząć normalnie żyć.

Była to prawda. Nadeszła pora, żeby skupić się na teraźniejszości i przyszłości, a nie na przeszłości. W przyszłości była nadzieja. Wróci do szkoły, stawi czoła plotkom, nadrobi zaległości w nauce, zda egzaminy, a potem może pójdzie na studia.

W przyszłości będzie miała własną rodzinę, przyjaciół i ambicje. Przeszłość pełna była cierpienia, o którym chciała już zapomnieć. Nie będzie to łatwe. Karen doskonale to wiedziała. Nigdy nie było jej łatwo, teraz też. Historia Życia wciąż leżała otwarta na podłodze, a na jej kolanach nadal rozłożony był artykuł z gazety. Pora z tym skończyć. Złożyła artykuł, wsunęła go pomiędzy strony albumu, a potem go zatrasnęła.

Jednocześnie przypomniało jej się to, co Zoë powiedziała o wzbudzaniu wyrzutów sumienia. Długo myślała o tym, że może w tym momencie ktoś czyta niedzielną gazetę i myśli o niej...

## EPILOG

Sally Wentworth ponownie popatrzyła na telefon i naląła sobie jeszcze jednego drinka. Piła cały ranek, od momentu, gdy zawiozła dzieci do szkoły. A już od tak dawna nie popijała...

Wzięła do ręki opróżnioną butelkę, owinęła ją w gazetę i włożyła do kosza na śmieci. Nie chciała, żeby Paul ją znalazł. Albo dzieci. Powtarzała sobie, że nie może się znowu do tego przyzwyczaić. To tylko dzisiaj. Dziś potrzebuje alkoholu, żeby jakoś przetrwać ten dzień.

Usiadła zgarbiona przy kuchennym stole i spojrzała na wycięte z gazety artykuły. Jeden wczorajszy, drugi sprzed czternastu lat, wyjęty z portfela starannie ukrytego pod rurą biegnącą za szafkami w sypialni. Dwa fragmenty całości z czasów, zanim pojawił się Paul. Zanim została powszechnie szanowaną panią Wentworth. Z czasów, gdy miała zaledwie piętnaście lat. Była mniej więcej w wieku dziewczynek, o których pisała wczorajsza gazeta. Zoë i Karen.

Tylko że tak naprawdę Karen wcale się tak nie nazywała. Miała na imię Michelle. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Sally wstała od stołu i niepewnie podeszła do okna swojego ładnego domku - bliźniaka. Popatrzyła na ogród pełen zgrabnych kwiatowych rabatek i na huśtawkę, na której bawiły się jej dzieci.

Tak wiele się zmieniło od czasu, gdy mieszkała w wilgotnej, ciasnej norze w Birmingham ze swoją siostrą Julie, a później również z Michelle.

Julie była od niej trzy lata starsza. Mieszkanie było wynajęte na jej nazwisko. Początkowo Sally znajdowała tam tylko chwilowe schronienie. Od czasu do czasu wpadała na noc albo na weekend, gdy nie mogła już dłużej wytrzymać w domu. W końcu, po kolejnej kłótni z ojczymem, przestała chodzić do szkoły i zamieszkała z Julie. Od tamtej pory żadna z nich nie kontaktowała się z rodziną. Ich mama też nigdy nie zabiegała o spotkanie. Nic nie wiedziała o Michelle ani o czwórce wnuków, które przyszły na świat później. Nie obchodziło jej, co działo się z nią ani... z Julie.

Michelle nie urodziła się w tamtym mieszkaniu. Urodziła się w szpitalu. W mieszkaniu nie zagrażały zresztą długo miejsca. Wyprowadziły się, kiedy dziewczynka miała zaledwie miesiąc. Do innego mieszkania, w innym mieście. W Manchesterze. Żeby uciec przed wścibskimi ludźmi z opieki społecznej i przychodni.

- Nie potrzebujemy ich - oświadczyła wtedy Julie. - Zaufaj mi, Sal. Odbiorą nam ją,



jeśli nie będziemy ostrożne. Wiem, że tak będzie. Ciągłe się czegoś czepiają. A to za mało waży, a to cieknie jej z nosa, a to ma mokro. Marudzą, że nie jest przewinięta albo że mieszkanie jest za wilgotne. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby ruszyli te swoje tyłki i znaleźli nam jakieś przyzwoite miejsce. Ale tego nie zrobią. Po prostu ją zabiorą i oddadzą komuś innemu...

To było całkiem prawdopodobne. Pracownica opieki społecznej nie lubiła Julie. Uważała, że ma zły wpływ na Sally i na małą. Nie podobało jej się, że Sally z nią mieszka, nie mówiąc już o dziecku. Ale Julie nie była wcale taka zła. Dobrze im się układało, potrafiły razem zrywać boki ze śmiechu. Wszystko było w porządku, także po narodzinach Michelle, dopóki Karl się do nich nie wprowadził. Nie, żeby można było o wszystko obwiniać Karla, pomyślała Sally, otwierając następną butelkę i nalewając sobie kolejnego drinka. Kiedy teraz o tym myślała, wiedziała, że obie z Julie tak samo zawiniły. Bardzo dużo piły. Czasami brały narkotyki. Niezbyt często. Właściwie wciąż brakowało im pieniędzy. Ale Karl był dealerem. Kiedy Julie się z nim związała, wszystko się zmieniło. Zwłaszcza po tym, jak zaczęła brać heroinę.

Na dodatek Karl nie cierpiał Michelle. Nie mógł znieść jej płaczu. Kiedy Julie się nią zajmowała, wpadał we wściekłość.

- Niech Sal to zrobi - warczał. - Zabierz ją stąd, Sal. Nie chcę jej widzieć, rozumiesz?

Julie nie reagowała, po prostu stała z boku i przyglądała się. Była zbyt zakochana w Karlu i zbyt naćpana, żeby zauważyć, co się dzieje, żeby pomyśleć o tym, co się stanie z Michelle. Biedne dziecko cały czas traciło na wadze. Zazwyczaj była też brudna, a jej ciało pokrywały krosty.

- Robiłam, co mogłam - powtarzała w duchu Sally. - Ale sama byłam jeszcze dzieckiem. Robiłam, co mogłam.

Ale nie mogły dalej tak żyć: ściśnięte w małym mieszkanku, bez pieniędzy na swoje utrzymanie. Z każdym dniem było coraz gorzej. Sally wiedziała, że musi stanąć na własnych nogach. Starła się, naprawdę się starła. Znalazła nawet pracę w kawiarni. Bała się zostawiać Michelle z tamtymi dwojgiem, ale rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy. Pewnego wieczoru, kiedy wróciła wcześniej do domu, rozpętało się piekło. Julie i Karl wrzeszczeli na siebie, Michelle krzyczała wniebogłosy, leżąc na łóżku, na które została rzucona.

- Masz się jej pozbyć - darł się Karl. - I lepiej zrób to szybko, bo sam się nią zajmę.

- Nie! - zawołała Sally, widząc, że mężczyzna zbliża się do łóżka.

Karl podniósł Michelle i zaczął nią potrząsać...

Sally zatkała sobie usta pięścią, żeby nie krzyczeć na samo wspomnienie tamtej

chwili. Pamiętała, że próbowała wyrwać mu dziewczynkę, podczas gdy Julie wpatrywała się w nich szklanym wzrokiem, nie chcąc lub nie mogąc jej pomóc. W końcu Karl poddał się i dosłownie rzucił dziecko w jej stronę. Sally chwyciła Michelle i wybiegła z mieszkania. Aż do rana spacerowała z małą ulicami. Wróciła dopiero, kiedy uznała, że nic już im nie grozi.

W mieszkaniu zaczęła się pakować, wrzucając swoje rzeczy do torby. Następnego dnia zamierzała się wyprowadzić. Miała nadzieję, że przekona do tego również Julie. Że siostra zgodzi się odejść razem z nimi. Ona, Julie i Michelle mogłyby zamieszkać razem. Planowała, że zabierze Michelle do lekarza, postara się poszukać dla nich jakiejś pomocy.

Ale kolejnego ranka, gdy się obudziła, Michelle tam nie było.

- Coś ty zrobiła? - krzyknęła do Julie. - Coś z nią zrobiła?

- Nic jej nie jest. Daj mi spokój.

- Jeśli on zrobił jej krzywdę...

- Nie zrobił. - Julie przeciągała słowa. - Ale w końcu mógł jej coś zrobić. Tak będzie lepiej.

- Och, nie... Nie wiem, co z nią zrobiłaś, ale nie ujdzie ci to na sucho!

- Grozisz mi? - wrzasnęła Julie. - Za kogo ty się w ogóle uważasz, Sal? Michelle to mój dzieciak. I to ja podjęłam decyzję.

Sally nie mogła temu zaprzeczyć. Michelle rzeczywiście była córką Julie, chociaż to Sally najczęściej się nią zajmowała. I to jej najbardziej na niej zależało.

- Karl mówi, że nie zniesie tu obecności dzieciaka jakiegoś innego faceta - mówiła dalej Julie. - Dlaczego zresztą miałby się na to godzić? Więc lepiej trzymaj gębę na kłódkę, siostrzyczko. Bo nie chciałabym, żeby coś ci się stało.

Czy dlatego nic wtedy nie zrobiłam? - zastanawiała się Sally, wstając ponownie od stołu i podchodząc do okna. Ze strachu przed Karlem?

Może. Przez pierwszych kilka godzin była zbyt przerażona, żeby cokolwiek zrobić czy powiedzieć. Była pewna, że dziecko nie żyje, tak samo jak była pewna, że nigdy nie zdoła spełnić swoich gróźb. Nie potrafiłaby pójść na policję. Nie mogła pozwolić, żeby Julie coś się stało.

Później, kiedy wrócił Karl i rzucił im gazetę, Sally poczuła przede wszystkim ogromną ulgę. Trzymiesięczne dziecko zostało znalezione w parku, w pobliżu ich mieszkania. Pielęgniarki dały jej na imię Karen.

Potem nie było już sensu czeokolwiek robić ani mówić. Gdziekolwiek była, Michelle - Karen z pewnością miała się o wiele lepiej. Poza tym Julie zniknęła. Wyjechała z Karlem następnego wieczoru po tym jak porzuciła swoją córeczkę.

Dobrze zrobiłam - powtarzała sobie w myślach Sally, chwytając się kurczowo parapetu, żeby powstrzymać drżenie rąk. Miała swoje własne życie. I wtedy, i teraz.

Po wyjeździe tamtych szybko się urządziła. Zamieszkała nad kawiarnią, w której pracowała. Zaoszczędziła trochę pieniędzy. Spotkała Paula... Tamtego dnia, kiedy przyszedł do jej kawiarni i uprzejmie poskarżył się, że jego kawa jest zimna.

Przyszło jej do głowy, że Paul wszystko zmienił. Był naprawdę porządnym facetem. Ciężko pracował i nienawidził narkotyków. Zmusił ją nawet, żeby rzuciła palenie, kiedy była w ciąży z ich pierwszym dzieckiem. To dla niego się zmieniła. O swojej przeszłości opowiedziała mu bardzo niewiele, a i tak połowa była kłamstwem. Paul bardzo kochał dzieci. Nigdy nie zrozumiałby tego, jak postąpili z Michelle.

Jakieś sześć lat temu była o włos od katastrofy, kiedy odnalazła ją Julie. Pewnego dnia zjawiała się pod jej drzwiami, bez grosza, zdesperowana i poważnie chora. Obie wylądowały wtedy w szpitalu: najpierw Julie miała operację, a później ona sama musiała się leczyć, ponieważ stres wywołany spotkaniem z siostrą zaczęła topić w alkoholu.

Paul okazał się cudownym mężem. Zapożyczył się i załatwił jej kurację w klinice odwykowej. Na szczęście poskutkowało. Sally obiecała mężowi, że coś takiego już nigdy się nie powtórzy. I nie powtórzyło się. Aż do dzisiaj.

Kiedy odwróciła się od okna i zobaczyła leżące na stole wycinki, poczuła bolesny skurcz żołądka. To ten artykuł sprawił, że ożyły wszystkie złe wspomnienia.

Co powinna teraz zrobić? Zadzwoić do gazety? Do opieki społecznej? Zdradzić tajemnicę, którą ukrywała przez czternaście lat? Spotkać się ze swoją siostrzenicą? Jeśli to zrobi, Paul dowie się o wszystkim. Jej dzieci zostaną wplątane w skandal. Dowiedzą się, jakim człowiekiem była kiedyś ich matka. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze.

Ale z drugiej strony, jak mogła przejść obok tego obojętnie? Czy to nie samo przeznaczenie zmusza ją do naprawienia dawnych błędów? Czy Michelle nie ma prawa wiedzieć?

- „Nie każ swojemu dziecku przechodzić przez to, przez co ja musiałam przejść” - przeczytała na głos. - „Nie skazuj go na życie w ciągłej niewiedzy.”

Dłoń Sally wyciągnęła się w kierunku telefonu, po czym opadła bezwładnie w dół. Jaka byłaby z tego korzyść? Bez powodu wprowadzi jedynie chaos w czyjeś spokojne życie. Co właściwie mogła powiedzieć Michelle? Nie mogła podać jej żadnych informacji na temat jej biologicznego ojca. Julie nigdy jej nie powiedziała, kto nim był. Sally nie miała żadnych dokumentów. Żadnego dowodu. Jedynie wspomnienie dwóch bezradnych dziewczyn.

To bolesne wspomnienie było jedyną rzeczą, jaką mogła obdarować swoją

siostrzenicę. Dziewczynka nie miała nawet szansy poznać swojej matki. Biedna Julie zmarła w trakcie tamtej operacji sześć lat temu. Była narkomanką. Jej ciało i umysł były całkowicie wyniszczone. Takie były fakty, które mogła przekazać Michelle. Mogła jej powiedzieć, że jej matka była ćpunką, ojciec pozostał nieznany, a ciotka okazała się zbyt samolubna, żeby o nią zadbać. Czy to właśnie chciałyby usłyszeć Michelle? A może byłoby lepiej, gdyby pozostała sobą, czyli Karen?

Z artykułu wynikało, że jest dobrym dzieckiem.

Sally ponownie podniosła wycinek z artykułem. Jej oczy zamglily się, gdy po raz ostatni czytała całą historię. Szkoda, że nie zamieścili żadnego zdjęcia Karen. Była tylko fotografia Zoë i jej synka. Miło byłoby wiedzieć, jak teraz wygląda Michelle. Czy żyje w niej jakaś częśćka Julie.

Tyle spraw musiała jeszcze przemyśleć. Głowa pękała jej od rozważania decyzji, których nie mogła podjąć i które jednak musiała podjąć. Wyznać prawdę czy milczeć.

Gdyby tylko ta gazeta nigdy nie trafiła w jej ręce. Gdyby nigdy nie wydrukowano tego artykułu. Oczy Sally zatrzymały się na jednym imieniu. Zoë.

Kimkolwiek była ta Zoë, miała sporo na sumieniu.